

Rozalia Taraszkiewicz-Otta

Dwie prawdy. Na drodze życia. Wspomnienia¹

Wstęp

Rozalia Taraszkiewicz urodziła się 27 stycznia 1931 r. we Włodawie, jako czwarte dziecko Władysława (ur. 1896 r.) i Róży Klary Sybilli (ur. 1902 r.). Jej ojciec urodził się we Włodawie, a matka pochodziła z Poznańskiego. Trójka starszego rodzeństwa: Edward (ur. 1921 r.), Władysław (ur. 1922 r.) i Leon (ur. 1925 r.), przyszła na świat w Niemczech, gdzie Władysław Taraszkiewicz przebywał od 1914 r., pracując w kopalni. Z zawodu był stolarzem, kołodziejem. Taraszkiewiczowie wrócili do Polski w 1925 r. i osiedli we Włodawie. Ojciec Władysław do wybuchu wojny prowadził warsztat usługowy. We Włodawie przyszła na świat najmłodsza dwójka rodzeństwa: wspomniana Rozalia oraz Józef (ur. 1940 r.).

Bardzo bliskim ich krewnym był Bronisław Taraszkiewicz (1892–1938), autor pierwszej gramatyki języka białoruskiego dla szkół średnich, który przełożył na język białoruski *Pana Tadeusza* i *Iliadę*. W latach 1922–1927 był posłem na Sejm II RP, organizatorem i przywódcą Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady; dwukrotnie aresztowany za działalność komunistyczną. W 1933 r. znalazł się w Związku Sowieckim, gdzie w 1937 r. został aresztowany, a następnie rozstrzelany w wyniku czystek stalinowskich.

We Włodawie rodzinę Taraszkiewiczów zastał wybuch wojny. Od tego momentu przez następnych kilkanaście lat rodzina przeżywała tragiczne dzieje. Na robotach przymusowych znaleźli się dwaj synowie: Edward i Władysław. Ten drugi nigdy stamtąd nie powrócił. Niezwykle były losy trzeciego z kolei brata, Leona, który wchodził w wojnę jako czternastolatek, a gdy dobiegała końca, miał dziewiętnaście lat. W tym czasie był aresztowany za przechowywanie broni, wcielony do niemieckich jednostek budowlanych Todta, z których zbiegł; uciekł również z więzienia na Zamku Lubelskim; walczył później w sowieckim oddziale partyzanckim.

Okres najbardziej tragiczny dla rodziny Taraszkiewiczów rozpoczął się z chwilą zakończenia okupacji niemieckiej, czyli od drugiej połowy 1944 r. Mogłoby się wydawać, że przed Leonem – do niedawna sowieckim partyzantem – otwierają się drzwi do wielkiej kariery w nowej rzeczywistości. On jednak nie był nią zainteresowany, wolał się poświęcić działalności usługowo-handlowej. Szybko

¹ Opracował i wstępem opatrzył Sławomir Poleszak. Rękopis wspomnień składa się z dwóch części. Pierwsza z nich zawarta na kartach 1–19 jest zatytułowana *Dwie prawdy*; druga zaś, obejmująca karty 20–142, nosi tytuł *Na drodze życia*.

z „dobrze rokującego” stał się „wrogiem ludu”. W dniu 18 grudnia 1944 r. on, jego ojciec, matka oraz niespełna piętnastoletnia siostra (autorka prezentowanych wspomnień) zostali aresztowani jako „współpracownicy niemieccy”. Kiedy udało mu się zbiec z transportu wiozącego go w głąb Związku Sowieckiego, nie mając w praktyce innego wyjścia, zaczął organizować partyzantkę. Był jedynym dowódcą oddziału partyzanckiego polskiego podziemia niepodległościowego, który w czasie okupacji niemieckiej walczył w szeregach sowieckiego oddziału partyzanckiego. Jego decyzja o „pójściu do lasu” zaważyła nie tylko na jego losach, ale również na losach jego najbliższych.

W czasie swojej półtorarocznej działalności zbrojnej przeprowadził kilkadziesiąt poważnych akcji partyzanckich, stając się postrachem dla „władzy ludowej” południowego Podlasia. Jako dowódca charakteryzował się niesamowitą odwagą i brawurą. Po jego śmierci w styczniu 1947 r. dowództwo nad oddziałem przejął jego starszy brat, Edward, który po powrocie z robót w Niemczech znalazł się w tym oddziale.

Działalność zbrojna braci Taraszkiewiczów powodowała, że pozostała część rodziny po pierwszych represjach spowodowanych podejrzeniami o współpracę z Niemcami musiała się ukrywać przed Urzędem Bezpieczeństwa na Ziemiach Odzyskanych pod fałszywymi nazwiskami, zatajając przed otoczeniem faktyczne powiązania rodzinne.

Prezentowane niżej wspomnienia powstały w 2003 r. Pod koniec 2006 r. za pośrednictwem Zofii Leszczyńskiej kopie ich rękopisów zostały przekazane do archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie². Ze względu na ograniczone możliwości edytorskie poniżej zamieszczono wybrane fragmenty wspomnień.

Wszelkie uzupełnienia w tekście umieszczono w nawiasach kwadratowych. Zachowano oryginalny układ. Poprawiono jedynie błędy stylistyczne, uwspółcześniono ortografię i uzupełniono interpunkcję. Całość opatrzone przypisami tekstowymi i merytorycznymi.

Sławomir Poleszak

² AIPN Lu, 216/1, Wspomnienia Rozalii Taraszkiewicz-Otta, kserokopia rękopisu.

[...] W 1939 r. kiedy wybuchła wojna, Leon³ nagonił braci do wykopania schronu w sadzie. Wojna zbliżała się ku końcowi, a raczej zaczynała. Leon przyprowadził siedmiu żołnierzy z bronią (karabiny), pochodzili z Baranowicz, Łucka i Kobrynia. Poprzebierał ich w cywilne ciuchy. Jeden z tych żołnierzy mówi: „Chłopcze, te karabiny schowaj, one się jeszcze przydadzą!”. Tak schował karabiny: trzy u ojca w warsztacie, pod podwaliną w worku zakopał, a cztery pod skarpą w rowie. Dał żołnierzom grabie takie do siana, trzy sztuki, i poprowadził do Suszna nad Bugiem do Andrzeja, gdzie stała krochmalnia, państwo N.N. (nie pamiętam). Todzo z Andrzejem przeprawili ich na drugi brzeg, tam była blisko wieś Olędry (ukraińska). Ponieważ most na Bugu wojsko spaliło, a żołnierze musieli dojść boczną drogą do Tomaszówki do pociągu. Jak doszli, nic nie wiemy. Nie pamiętam już, jak to było, czy Sowieci do Włodawy pierwsi wkroczyli, czy Niemcy⁴. Zapamiętałam ich w czapkach z czubkami u góry i palenie papierosów w gazetce. Niemcy podzielili się Polską z Sowiecami. Po tamtej stronie Bugu stały wieże obserwacyjne, po tej chodziły Grenzschutz⁵.

Za jakiś czas było ogłoszenie, że kto posiada sprzęt wojskowy czy broń, ma zdać. Moi rodzice nie wiedzieli, że Leon schował karabiny od wojskowych. Chodzą Niemcy (polowa żandarmeria), na piersi blacha w kształcie księżycy na łańcuszku. Niemieckie asy przyszły do domu, obeszli, porozmawiali z matką. Ojciec miał wodę w kolanie, leżał z opatrunkiem. Z Niemcami chodzili Polacy, brali udział w rewizjach, nie byli to robotnicy, chłopci, ale panowie z koszar. Tak wiernie zaczęli pracować nowym władzom (jak to się w tym czasie mówiło, „Niemcom klamki lizać”). Niemcy byli już na samochodzie, a tu leci pan i woła ich z powrotem. Znalazł trzy karabiny. Niemiec starszy rangą wchodzi do mieszkania i drze się na moją matkę: „Du bist zuwidenweißen Jude”^b [„Jesteś wstrętnym Żydem” – S.P.] i rzuca rękawicę skórzaną w twarz. Podniosłam tę rękawicę, mojej matce płynęły z oczu łzy. Niemiec jak wściekły wyjął pistolet. Ja obłapiałam matkę i płakałam (matka spodziewała się urodzić dziecko, Józef Juliusz Taraszkiewicz, ur. 19 lipca 1940 r.). Niemiec kazał zabrać z szafy ładną odzież, zapasy żywności, cukier, mąkę, materiały pościelowe, z wędzarni boczek, suchą kielbasę. Zabrali Leona i Władzia⁵. Edward⁶ szedł z miasta i zobaczył, że wynoszą coś z naszego

^a W *tekście tu i dalej* Grensulce.

^b W *tekście* Dubistu zu wide wajse jude.

³ Leon Taraszkiewicz „Jastrząb”, „Zawieja” (1925–1947), por. WiN, od 1944 r. żołnierz sowieckiego oddziału partyzanckiego „Anatola”. W grudniu 1944 r. aresztowany przez UB, osadzony na Zamku w Lublinie. W marcu 1945 r. zbiegł z transportu jadącego w głąb ZSRR. Po ucieczce – w oddziale partyzanckim Klemensa Panasiuka „Żytosława”, a od czerwca – dowódca oddziału. Oddział uznawał podległość strukturom DSZ, a potem WiN. W szczytowym okresie liczył około 100 partyzantów i przeprowadził wiele brawurowych akcji wymierzonych w polski i sowiecki aparat bezpieczeństwa. Taraszkiewicz zginął 3 I 1947 r. w Siemieniu, pow. Radzyń Podlaski, podczas ataku na oddział KBW, śmiertelnie ranny przez jednego ze swoich żołnierzy; zob. J. Bataszew, *Leon Taraszkiewicz (1925–1947)* [w:] *Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956. Słownik biograficzny*, t. 1, Kraków–Warszawa–Wrocław 2002.

⁴ Wojska niemieckie zajęły miasto 16 IX 1939 r. Wojska polskie odbiły je 23 IX 1939 r. Od 26 IX w mieście stacjonowały oddziały SGO „Polesie” gen. bryg. Franciszka Kleeberga. Zostały powołane nowe władze miejskie i powiatowe. Wojska sowieckie wkroczyły do Włodawy 2 X 1939 r. i przebywały w niej do 14 X 1939 r., po czym miasto zostało ponownie zajęte przez wojska niemieckie.

⁵ Władysław Taraszkiewicz.

⁶ Edward Taraszkiewicz „Grot”, „Żelazny” (1921–1951), ppor. cz.w. W latach 1940–1945 przebywał na przymusowych robotach w Niemczech. Od lipca 1945 r. w konspiracji niepodległościowej,

domu do samochodu, skręcił na drogę do pani Sierpińskiej, a potem poszedł do wujenki. Dowiedział się, co jest, i już się w domu nie pokazywał. Poszłam z moją mamą zanieść im jeść do „kozy”. [Mama] dostała zezwolenie podać jedzenie. Ja weszłam do środka, drzwi otworzył odźwierny^c pan, nasz, Polak. Leon wsunął mi karteczkę: „Jutro włóż śrubokręt do koszyka”. Tak też na drugi dzień zrobiłam.

Poszłam z mamą do jakiegoś starszego Niemca w magistracie. Ściany pomalowane na różowo, a wzdłuż niemiecki orzeł czarny trzyma wieniec w pazurach, w środku wieńca „Hakenkreuz”^d. Mojej matce powiedział Niemiec, [że] jeśli ten [z] polowej żandarmerii jutro wyjedzie, to pani synowie ocaleją, mówi mojej mamie. Moja matka jest Polką, pochodzi ze Śląska. Nie mogłam się doczekać jutrzejszego dnia. Moja mama wcale nie spała. Poszliśmy rano do tego Niemca, już uśmiechnął się, mówi mojej mamie, że ten cały szef odjechał, wyjął dokumenty i spalił na biurku. Chłopcy byli zwolnieni. Panowie, którzy tak wiernie Niemcom pomagali robić rewizje nadgorliwie, zostali zabrani do oflagu. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy razem. Na Wigilii była wujenka z wujaszkiem Taraszkiewiczem, a Nowy Rok Edward i Władzio oraz Henio Wybranowski⁷ spędzili w Niemczech, wywiezieni z innymi z terenu Włodawy; adres: Bauer Adolf Handwerg, str. Hindenburg. Henio był razem z moimi braćmi u tego samego bauera. Leon pracuje w rzeźni razem z Dejerem i innymi pracownikami p[ana] Sarato. Ubój w większości jest dla wojska, mała ilość dla ludności cywilnej.

[...] Ludzie też zwracali się, by pisać podania w różnych sprawach. Zwrócił się też Michał Aniesiewicz, że mu syna zamknęli i na Majdanek wywieźli; Mieczysław Sosik, Bujak i dwóch rolników z terenu Włodawy (nazwisk nie znam). Moja mama pojechała jako tłumacz, znała język niemiecki, wytłumaczyła i tych pięć osób zostało zwolnionych. Jak też pisała podanie dla p[ani] Sierpińskiej i jej mąż został zwolniony z Oświęcimia. Po trzech miesiącach został ponownie zabrany i zginął w obozie. Ponieważ mój ojciec chwalił socjalizm, toteż i jego zamknęli. Moja matka go wykupiła za trzy tłuste gęsi. Wiem od syna p[ani] Sierpińskiej Zbyszka i od Henryka Torbicza ([po wojnie] pracownik prokuratury woj[skowej] w Szczecinie), że we Włodawie było w czasie okupacji 27 szpicli niemieckich. Pytanie, czy Chwadeżowscy byli ujęci? A gdzie reszta, może wstąpili do UB. To byli już ludzie przyuczeni.

[...] W 1941 r. (czerwiec–lipiec) Leon dostaje wezwanie do junaków do Radomia. Jeszcze kilku z wioski. Waldek Filipowicz dostał wezwanie, ale go nie

początkowo jako sekretarz i adiutant dowódcy oddziału, por. Klemensa Panasiuka „Żyłosława” w Obwodzie DSZ Włodawa, a następnie zastępcą dowódcy oddziału WiN swojego brata, ppor. Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”. Po jego śmierci 3 I 1947 r. przejął dowództwo nad oddziałem. Poległ 6 X 1951 r. w walce z grupą operacyjną UBP-KBW w Zbereżu, pow. Włodawa (M. Zajączkowski, *Edward Taraszkiewicz (1921–1951)* [w:] *Konspiracja i opór...*, t. 1, s. 469–471).

^c *Tu i dalej w tekście odźwierny.*

^d *W tekście haken kroic.*

⁷ Henryk Wybranowski „Tarzan”, „Panek” (1923–1948). Po powrocie z robót przymusowych w Niemczech zamieszkał na Warmii. W obawie przed aresztowaniem powrócił na Polesie w marcu 1946 r. Nawiązał kontakt z oddziałem Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”. Pełnił funkcję łącznika i wywiadowcy. Od czerwca 1946 r. żołnierz oddziału. Nie skorzystał z amnestii 1947 r. Żołnierz oddziału „Żelaznego”, zbrojmistrz. W październiku 1948 r. otoczony przez funkcjonariuszy UB w Kolonii Macoszyn, popełnił samobójstwo (AIPN Lu, 0311/6, Kwestionariusze osobowe na członków bandy „Jastrzębia” i „Żelaznego”, k. 276).

było w domu; pojechał na podwozy i już nie wrócił. W Radomiu Leon poznał chłopaków z ruchu oporu. Część z nich pracowała w piekarni, gdzie junacy dowozili mąkę i pobierali chleb. Leona chcieli przerzucić w Góry Świętokrzyskie, a dalej miał pracować jako kurier. Junacy pracują przy torach, przy nasypie, przy wyładunku, przy okorowaniu drzewa z kory jako materiał budowlany. Pilnują ich Niemcy z „Todta”^e (żółte mundury, ekipa robotnicza)⁸. Ruch oporu poleca, by w wagonach kolejowych wiozących więźniów odhaczać zasuwę w górnych okienkach, [które są] zakratowane, zabite blachą z niewielkimi otworami. Pracowali przy torach, gdzie po obu stronach był las; pociąg zwalniał, Leon odhaczał zasuwę: „Uciekajcie do lasu”. Chłopcy wyskakiwali, uciekali w głąb lasu, rozlegały się strzały. „Todt” zaczął strzelać, ale pociąg towarowy jechał dalej. Za kilka dni w miejsce, gdzie mieszkali junacy, przyjechali żandarmi z jednym więźniem. Junaków ustawiono wzdłuż i więzień z żandarmem szedł obok: „Który wam kazał uciekać, pokaż?!”. Przeszedł raz, nie zatrzymał się; nagle stanął przy jednym i podszedł do Leona: „To on rozsunął drzwi i kazał uciekać, a ten drugi był z nim!” – „On kłamie, ja byłem chory, miałem biegunkę, siedziałem w rowie!”. Zabrali więźnia, a Leona dowództwo „Todta” zaraz zabrało i zamknęli; w pomieszczeniu, gdzie siedział, był piec na dwie strony. Chłopcy podali [mu] samą siekierę i przez noc zrobił otwór, i przeszedł do drugiej połowy. Wyszedł stamtąd, poszedł do dziewczyny z konspiracji, której ojciec pracował w sądzie, ojciec dał mu płaszcz, kapelusz i na bilet i kanapki. Szczęśliwie dojechał do Włodawy, poszedł do wujenki, poinformował, żeby powiedzieć mamie, że go będzie gestapo poszukiwać. O godz. 10⁰⁰ przyszło trzech panów z gestapo włodawskiego. Powiedzieli mamie: „Pani syn należy do ruchu oporu, wie pani, co go czeka, niech się do nas zgłosi i wskaże działaczy. My go z kary zwolnimy”.

Ojciec nad warszatem na strychu miał pełno bali, a obok był gołębnik, na strychu nad warszatem zrobił mały otwór rozsuwany w ścianie, były białe duże gwoździe tak, że [Leon] łapał się i wlaził, i zlaził. Miał kołdry, kozuch. Ale to niespokojna dusza, mówi: „Ja pojedę do Radomia”, matka mówi: „Siedź! Nie znasz terenu, tu masz swoich ludzi, ktoś ci zawsze pomoże”. Moja mama poszła do miasta, wujenka wzięła Józia⁹ do siebie, ja zostałam. Nabieram wodę ze studni i nalewam do beczek. Przeszedł Zdzych Muszyński, podszedł do mnie i pyta: „Lola, powiedz mi, gdzie jest Leon?”, a ja mu mówię, że w junakach. A ten bez przerwy powtarza jak mól: „Lola, powiedz mi, gdzie jest Leon?”. Leon z otworu gołębnika zobaczył Muszyńskiego i wyszedł ze swojej kryjówki, zagwizdał, do warsztatu ojca wszedł Muszyński. Właz był u góry rozsunięty. Muszyński się rozglądał, rozmawiali obydwoj. Ja poszłam do furtki obserwować, bo gestapo wpadało wczesnym rankiem, w nocy, ale jakiś mnie dręczył niepokój. Może byłam zła, że Leon się pokazał Muszyńskiemu. Wróciła moja mama i ja jej opowiedziałam, co zaszło. Powiedziała: „Niedobrze!”. Leon się przebrał i o 16⁰⁰ miał iść do

^e W tekście tu i dalej Totha.

⁸ Chodzi o organizację Todta (niem. Organisation Todt), niemiecką paramilitarną organizację budowlaną działającą w latach 1938–1945, której twórcą był Fritz Todt. Działała ona w Trzeciej Rzeszy i krajach przez nią okupowanych, posiadała własne obozy pracy oraz wykorzystywała do pracy więźniów z obozów koncentracyjnych. W procesie norymberskim została uznana za organizację przestępczą.

⁹ Józef Taraszkiewicz.

Orchówka, do kolei. Ojciec mój pracował na mieście, z pracownikami, przy rozbiorce żydowskiego drewnianego domu. Mama zapakowała obiad do koszyka i ja miałam zanieść ojcu. Przeszłam przez ulicę, chciałam iść na skróty przez obszar. Obejrzałam się, a pełno Niemców idzie przy sztachetach, dom okrążony, usiadłam na murawie, nie mogłam Leona ostrzec. U Ziemińskich obok budowali dom, pytają mnie: „Co się stało, że Niemcy dom okrążają?”, a ja nie mogłam wypowiedzieć słowa. W krótkim czasie wojskowi odeszli, a trzech gestapowców prowadziło Leona. Wróciłam się, a moja mama mówi: „No, kolega szkolny Muszyński, to jego robota, bo gestapo pierwsi [najpierw – S.P.] weszli do warsztatu, czyli że miejsce było wskazane”. Leon był na werandzie, gestapowiec szedł pierwszy, mama go wyprzedziła. Leon miał rękę w kieszeni, trzymał pistolet. Moja mama mówi: „Nie rób tego, są jeszcze małe dzieci!”. Leonowi ręka zeszytniała, gestapowiec zabrał pistolet, zabezpieczył. Na drugi dzień ja zniosłam obiad Leonowi do gestapo. Poszła ze mną matka. [Była tam] biała suczka pudelek, wyszedł gestapowiec z wilkiem, podałam jedzenie dla brata, psy szalały. Po chwili gestapowiec podał mi koszyk z garnkiem. Podczas mycia mama znalazła gryps włożony w środek kartofla. Leon pisze: „Muszyński jest szpiclem”. Zaraz powiadomiłam Heńka Torbicza, Zdżicha Filipowicza. Na następny dzień zniosłam jeść. Leona już nie było. Został wywieziony do gestapo w Radomiu. Tam dopiero była „obróbka”. To, co Leon mówił Muszyńskiemu, to go pytają: „Kto ma ciebie doprowadzić w Góry Świętokrzyskie?”. Leon był niesamowicie torturowany. Stracił przytomność, jak kiedyś mi mówił: „Przekląłem dzień, kiedy mnie mama urodziła!”. W czasie śledztwa nikogo nie wydał. Znow go wywołali, założyli kajdanki i [we] dwóch poprowadzili na kolej. Nie wiedział, gdzie go wiozą, ale mówił sobie: „Matko Najświętsza, ja tak chcę żyć!”. Jeden z Niemców patrzył w okno i coś zobaczył, sarnę, jelenia czy dziką, i drugi Niemiec patrzył się w okno, a Leon wtedy do drzwi i wyskoczył z pociągu. Toczył się w dół po skarpie. Patrzy – kajdanki leżą w pociągu, strzelają, to on ucieka, teren górzysty, do lasu kawałek. Pociąg zatrzymali. Leona lekko ranili w ramię, dopadł do lasu, były trzy sterty gałęzi z drzew iglastych. Pod jedną stertę wlaź, słyszał, jak chodzili. A kiedy [u]słyszał odjazd pociągu, wyszedł spod gałęzi. Stał za drzewem, szli robotnicy leśni, pytał się, co to za teren, powiedzieli mu, że rano to tu będzie pełno Niemców, bo nieraz już tak było, jak kogoś szukali. Koło lasu były trzy domy, świeciło się światło, wszedł. Dziewczynka kołysała dziecko w kołysce. Pytał, gdzie rodzice, ale weszła matka. Opowiedział jej, opatrzyła mu ramię, dała jeść. Przyjechał jej mąż z młyna, poszła do niego. Ten pogadał z Leonem, powiedział: „Zaraz ciebie odwiozę na stację. Masz czapkę, kurtkę, wiadro po wapnie, pędzel i pieniądze na bilet”. Powiedział Leonowi: „Niemcy ciebie wieźli na rozstrzał, bo tak robią dla zastraszenia Polaków”. Nieznajomy człowiek odwiózł Leona i odjechał. Leon szczęśliwie dojechał do Chełma. Przenocował u znajomych. Poszedł na dworzec z tym wiadrem i pędzlem. Na trasie Chełm–Sobibór zaczęli legitymować własowcy, którzy pilnowali obozu żydowskiego w Sobiborze¹⁰. Leon nie miał dokumentów. Mówi [więc]: „Ja udirał iz Giermanii, iz raboty^f. Włodawa, moj

^f W tekście Ja udzierał z Giermani, z raboty.

¹⁰ Wartownikami w obozie zagłady w Sobiborze byli członkowie formacji „Trawnikenmänner”, a nie żołnierze gen. Andrieja Własowa.

gorad”. Mówi do niego [własowiec]: „Jak ciebie ktoś zna tu w pociągu, to ja ciebie puszcze”. Był taki, co znał moich rodziców, i mówi: „Teraz wojna i najlepiej nikogo nie znać”. Jeden własowiec chciał go puścić, a drugi mówi: „A nużna ty szpion?”. Powrotnym pociągiem własowcy dostarczyli Leona do Chełma sokistom. Ci przekazali go do więzienia. W Chełmie Leon podał nazwisko Blimka Stanisław, bo faktycznie Blimkowej syn był w Niemczech na robotach, czy jako ochotnik pojechał, tego nie wiem. Wujenka dostaje kartkę pocztową: pisze nad[awca] Blimka, pisze: „Proszę, podaj mi, mamu, bieliznę, koc, obuwie i coś do jedzenia”. Podpisał się „Wasz niunus”. Tak go mama nazywała, jak był mały. Mama pożycza pasaki. Przebiera się w ciuchy p[ani] Zosi z Okuninki i zawiozła [paczkę] do więzienia. Nikt jej nie poznał. Za dwa dni był transport więźniów do Lublina na Zamek. Leon też zabrany. Na Zamku za dwa dni wzywają go o godz. 14⁰⁰. Bierze swój tobołek, idzie. Akurat wychodzi zmiana warty, dużo idzie klawiszy. Leona prowadzi facet na czarno elegancko ubrany. Polak, volksdeutsch⁸, szpicel – kto go tam wie? W każdym razie wierny sługus. Przeprowadził go do gestapo „Pod zegarem”. Zrobiono z niego trzy zdjęcia, odciski palców i kazali panu w czerni odprowadzić na Zamek z powrotem. Kiedy weszli za Bramę Krakowską w Lublinie, Leon swój tobołek, koc, garnek ze smalcem, ręcznik, mydło poprawił sobie, aż w pewnym momencie machnął swego pana w kolana, pomiędzy nogi, a sam [dał] dyla. Ten zaczął strzelać, ludzie zaczęli uciekać. Nie wiadomo, kogo mieli Niemcy łapać. Leon wszedł do piwnicy, za deski. Nagarnął na siebie węgle. Tak leżał, aż ucichło. Zaczęło się ściemniać, Leon wziął łopatę i wyszedł na ulicę Dolną Panny Marii. Tam mieszkał wtedy mój chrzestny ojciec, Stefan Korobczuk, murarz. Bardzo był znany jako rzetelny rzemieślnik. Leon nie znał dokładnego numeru domu, ale chłopcy na podwórku mu powiedzieli, jak ma iść. Zostawił łopatę na korytarzu przy zlewie i zapukał do drzwi, brudny. Drzwi otworzyła pani Korobczuk i mówi: „O Boże, znowuż jakiś poproszony”. Leon stał zmieszany, podeszła Marysia, córka, która chodziła z Leonem do szkoły, mówi: „Mamusiu, to Leon!”. Leon się umył, dali mu bieliznę, spodnie, sweter. Te [brudne] ciuchy wyprali. Wrócił Korobczuk. Porozmawiali. Mówi [Korobczuk]: „Obok po lewej stronie mieszka rodzina volksdeutschów⁹; po prawej kobieta z dzieckiem i dziadkiem, męża ma w oflagu, pracuje u Niemców w kuchni. Pogadam, może u nich te parę dni pobędziesz, bo my mamy jedną izbę i boimy się, bo ta po lewej, co mieszka, to ciekawska bardzo”. Moja mama dostała telegram: „Rózia, przyjedź, harmonię otrzymałem. Stefan”. Moi rodzice się głowią, co to znowuż nowego. Moja mama jedzie do Lublina. Weszła do kościoła, bo boi się, czy jakiś szpicel za nią nie idzie. Przyszła do Korobczuków, dowiedziała się, co jest. Lekarza wezwali do chorego, zobaczył ranę postrzałową i mówi: „Panie, mnie tu nie było, nic mi pan nie płaci, ja wiem, jaki dziś czas”. Podał rękę i odszedł. Leon mówi mamie: „Przywieź bieliznę, ubranie i niech tata ten duży pieńek na podwórku do rąbania drzewa odwróci. Pośrodku jest czop, on go wyjmie, tam jest ukryty pistolet czeski i 30 naboji”. Mama przyjechała, mówi ojcu, a on mówi: „Przecież Niemcy by mnie za to powiesili. Kiedy on to wmontował?”. Oczywiście wy dostał ojciec – bochenek chleba przecięty na pół, pistolet włożony,

⁸ *Tu i dalej w tekście folkstoicz.*

⁹ *W tekście folkstoiczów.*

po[u]tykany, chleb [w]zmocniony; 30 naboju w woreczku włożone do stanika, bochenek chleba w koszyku, torba osobno z ciuchami i raniutko [mama rusza] w drogę do Orchówka. Pojechała wozem do pociągu. Szczęśliwie dostarczyła wszystko. Wieczorem p[an] Korobczuk odprowadził Leona za rzeźnię, w kierunku Łęcznej. Była sobota. Korobczuk mówi: „Leon, w razie co u mnie nie byłeś, ja mam rodzinę”. Pożegnali się: „Z Bogiem idź!”. Doszedł do jakiejś miejscowości, gdzie było wesele. Konie były uwiązane do płotu. Siadł na konia, dojechał do szosy chełmskiej. Konia pogonił, a sam przyszedł do Fijałkowskiego na Zabagoniu we Włodawie. Otworzyli mu. Wieczorem Maria przyszła do nas do domu i powiedziała rodzicom. Henio Fijałkowski był inwalidą z [19]39 r., bez ręki. Stracił na wojnie. Wiadomo, wszyscy się boją. Nasze miejsce spalone przez szpicla Muszyńskiego. Ojciec załatwia sprawę z Bronkiem Filipowiczem. W jego stodole zrobiona jest melina, deski się rozsuwa od drewnitni, ale niemiecki wilczur by wywęszył człowieka. Wszędzie góruje lęk, niepewność każdego dnia. Wiadomo, młody człowiek. Zdzich Filipowicz zaraz kontaktuje Heńka Torbicza, oni mają łączność z „Jarema”¹¹.

Uplanowali podpalić Niemcom magazyn zbożowy na kirkucie, podymiło, magazyn z cegły, Grenzschutz zobaczyli, ugasili. Ale rano gestapo na koniu z wilczurzem objeżdża teren po parę razy. Torbicz wyruszył do oddziału „Jaremy”. Leon opuszcza melinę z lęku przed wpadką, wszedł do stodoły Józefa Kuryłowicza na podzamczu, schował się na sianie, jak przyszedł Kuryłowicz, to go poprosił, aby powiadomił rodziców, by się oni nie martwili. Przyszedł Kuryłowicz niby z jakąś robotą do ojca. Potem go wywołał i mówi, co jest. Ojciec mówi: „Zrobię coś do jedzenia”. [Kuryłowicz] mówi: „Nie trzeba, ja mu dałem, rano odchodzi do lasu, do »Jaremy«”. Jak zwykle się mówić, są ludzie i ludziska. Jeden może [za] 10 deka więcej margaryny na kartki wydał kolegę w ręce gestapo, a może żeby nie jechać do Niemiec na roboty; a drugi człowiek ratuje bezinteresownie. Leon dotarł do lasu, wstąpił jeszcze do pana Zarczuka w Żukowie (taki nasz serdeczny przyjaciel, bardzo przyzwoici ludzie). Zatrzymały go warty ruskiej partyzantki i zaprowadziły do dowódcy „Anatola”. Pytania, mówi co i jak jest, że idzie do oddziału „Jaremy”, tam jest jego kolega Heniek Torbicz ps. „Brzózka”. „Anatol” mówi: „Dlaczego nie chcesz do nas wstąpić?”. Leon mówi: „Jeśli mnie przyjmiecie...”. Dali mu trzy zadania wypełnić. Przeprowadzili wywiad ze znajomymi naszymi ludźmi. Leon miał pod sobą 30 ludzi, dowodził nimi.

Skończyła się wojna, Leon wrócił na nasz teren. Bogu dzięki, myśmy też przed frontem uciekli do Żukowa, do p[añstwa] Zarczków. Nasz dom na szczęście nie spłonął. Druga sprawa: baliśmy się, że mogą nas wywieźć Niemcy na Majdanek. Leon wraca z oddziału. Leon wykąpany, ogolony. Przebrał się. Kiedy żegnał się z „Anatolem”, ten dał mu aparat fotograficzny. Leon mu dał na pamiątkę wieczne pióro. Leon wieczorem poszedł do Róży Mrozowicz (jego dziewczyna), wstąpił do p[ana] Dejera. Omówili sprawę, że będą towar dostarczać razem do sklepów,

¹¹ Bolesław Flisiuk „Jarema” (1908–1984), por. WP, kpt. AK, od lutego 1944 r. komendant Obwodu AK Włodawa. Podczas akcji „Burza” dowódca zgrupowania partyzanckiego w ramach 7. ppleg AK (OP 7). Pozostał w konspiracji, pełniąc w dalszym ciągu funkcję komendanta Obwodu AK Włodawa. Aresztowany pod koniec 1944 r. i osadzony w tymczasowym obozie NKWD w Wólce Abramowickiej, pod fałszywym nazwiskiem. W połowie stycznia 1945 r. zwolniony. Wyjechał do Bydgoszczy (I. Caban, *Ludzie lubelskiego Okręgu Armii Krajowej*, Lublin 1995, s. 52, 262, 274).

a doktor Nocuń badać będzie mięso. Omówili wszystkie formalności, interes szedł bardzo dobrze. Leona koledzy z oddziału (paru z pow[riatu] włodawskiego) przyjechali w którąś niedzielę do naszego domu, że wstępują do UB, taką mają propozycję. Leon mówi: „Byłem wezwany do komitetu PPR¹ i mam różne propozycje, w partii, w UB, na naczelnika więzienia na Zamku w Lublinie, ale odmówiłem, bo ja prowadzę z Dejerem zakład masarski”. Zaznaczam, że Leon miał kilkakrotnie propozycje z UB, zawsze odmawiał. W krótkim czasie i serdeczny przyjaciel Leona, Stefan z oddziału, otrzymał medal z pochwalnym pismem. Stefan pochodził z terenów Włodawskiego (nie znam nazwiska ani wioski, z której pochodził, wiem tylko, że wstąpił do UB).

[...] ¹² Pod bramą w Krzesimowie ¹³ czekał na mnie mój ojciec chrzestny, Stefan Korobczuk. Zaprowadził mnie do jakiegoś gospodarstwa, poprosił gospodynię, by ugotowała cztery jajka na miękko, dała chleba posmarowanego masłem, kubek kawy. Zjedliśmy. Ojciec chrzestny zapłacił i poszliśmy pieszo w kierunku Lublina. Po drodze weszliśmy do kowala, żeby drutem ścisnął mój trzewiczek, bo zelówka od noska odeszła i ciężko było iść. Po drodze ktoś nas zawsze podwiózł, dobrnęliśmy do Lublina na [ul.] Ogrodową 10/16. Rodzina ojca chrzestnego bardzo mnie serdecznie przyjęła, córki obdarowały mnie; Aniela dała trzewiki, Marysia sukienkę, bieliznę. Wykąpałam się, umyłam głowę. Miałam czystą, bez „błyskotków” ¹⁴, bo co dzień mama czesała grzebieniem z nasuniętą na zęby watą tak, że nic się nie zalegało. A druga sprawa, w obozie przedzielonym na trzy części, to gdzie byliśmy obie z mamą, było dość względnie czysto. [W] krótkim czasie, za parę dni ojciec chrzestny zawiózł mnie do Włodawy. Przyjechaliśmy z Lublina do Chełma, pociąg do Orchówka nie jechał, dopiero rano. Tor był zajęty [przez pociąg] ze zdobycznymi rzeczami, jechał do Brześcia przez żelazny most. Wyszliśmy z dworca ulicą na prawo. Ojciec chrzestny wszedł do drewnianego mieszkania, poprosił o nocleg. Przyjęli nas, dali nam nawet na kolację zacierki na mleku. Było tylko dwoje rodziców i córka panienka. Spaliśmy na werandzie. Rano podziękowaliśmy ludziom. Ojciec chrzestny dał swój adres panience, jak będzie w Lublinie, to do nich zajść. Poszliśmy na dworzec, pociąg był podstawiony. Przyjechaliśmy do Orchówka, pociąg powoli się włókł. W Orchówku był podwoda Stupka, dowoził swoją furmanką pasażerów. Chciał mnie podwieźć. Wołał: „Lola, chodź, siadaj!”, ale ja nie mogłam zostawić mojego ojca chrzestnego. Szłam razem z nim pieszo do Włodawy. Na rogu przy parku, pod górką kościelną mieszkała moja babcia (ojca mama) z ciotką Marysią. Poszłam się z nimi przywitać. Pytali, czy ojciec żyje: „Ano żyje i pracuje w stolarni”.

¹ W *tekście* PZPR.

¹² Losy rodziny Taraszkiewiczów od momentu ich aresztowania 18 XII 1944 r. do momentu zwolnienia Rozalii Taraszkiewicz z obozu w Krzesimowie w końcu kwietnia 1944 r. zostały opisane i opublikowane przez autorkę, zob. R. Taraszkiewicz-Otta, *Wspomnienia*, „Nike” 2002, nr 64, s. 18–27.

¹³ Obóz Pracy w Krzesimowie w 1944 r. podlegał Resortowi Bezpieczeństwa Publicznego PKWN, a następnie MBP. Od kwietnia do czerwca 1945 r. funkcjonował w dokumentach jako Centralny Obóz Pracy, jednak był to zwykły obóz pracy, filia więzienia na Zamku Lubelskim. Po 1945 r. funkcjonował jako kolonia rolna z zadaniem obsługi gospodarczej więzienia na Zamku Lubelskim (B. Kopka, *Obozy pracy w Polsce 1944–1950. Przewodnik encyklopedyczny*, Warszawa 2002, s. 132–133).

¹⁴ Chodzi o wszy.

[...] Zaznaczam, jak rodziców i mnie wywieźli do obozu zagłady w Krzesimowie z Zamku Lubelskiego, to młodych więźniów z czwartego oddziału i z baszty (Leon tam był) [wsadzili] w transport do wagonów, na drogę dostali dwa śledzie i pół bochenka chleba; rewizja osobista (Leon schował mały szczyrek w pewnej części ciała, znalazł, jak roznosił obiad w kotle więźniom, i go ukrył). W wagonach towarowych z miejsca zabrał się do robienia szpary, by rozsunąć zasuwę (odsunął i 18 chłopaków młodych z terenów zamojskiego, hrubieszowskiego, chełmskiego, z Lublina, on jeden z Włodawy wyskakowali z biegiem pociągu). Leon dostał się do Korolówki, do p[ana] Popielewicza koło Włodawy, a ten mu mówi: „Lola wróciła”. A Leon mówi: „Tak mnie tu ciągnęło, śniło mi się, że ptaszek wyleciał za kratę”. Poszedł do Włodawy do Mariana (nie pamiętam, mieszka w dole, za stodołą Bronka Filipowicza). Marian w rzeźni miał pod opieką bydło do rzeźni. Sprzedał je i część pieniędzy Leonowi dał, bo mówił, że musiał szybko sprzedać taniej, bo bał się, że zabierze UB. Byłam u wujenki, przyszła Marysia Szymańska i mówi: „Leon chce się z tobą zobaczyć”. Marysia poszła, a ja bocznymi drogami, aby mnie nikt nie widział, gdzie idę. Zobaczyłam się z nim, cieszyłam się bardzo, że żyje, jednocześnie bałam się o niego, o to niepewne jutro. Podzielił się pieniędzmi. Mówił: „Daj wujence, opiekuj się Józkiem i jedź do Lublina. Podaj paczki żywnościowe rodzicom”. Pan Mieczysław Sosik podał mi sześć małych okrągłych chlebków, Anisiewicz podał boczek wędzony, p[ani] Knipowa dała cebulę i czosnek. Zrobiłam dwie paczki. Irena Sarata pożyczyła mi plecak i buty sowieckie z materiału, takie kiżowe, jak nosili sowieccy wojskowi. Zjechałam do Lublina i poszłam pieszo do Krzesimowa. Ktoś zawsze mnie podwiózł. W Krzesimowie dowiedziałam się od takiej samej dziewczynki jak ja, że ma mamę (sędzinę) w obozie i że jeden transport już wywieźli nie wiadomo gdzie, a teraz ma być drugi transport z kobietami (dlatego że jest choroba w obozie, tyfus). Zostawiłam tę dziewczynkę blisko przydrożnej szarej obory. Tam poprzednio trzymali żołnierzy skazanych na śmierć, 150 osób za odmówienie posłuszeństwa, to była szkoła w Dęblinie (o tym też pisze pan Pająk) w książce pod tytułem *Rządy zbirów*¹⁵. Szłam wzdłuż drogi, mama mnie zobaczyła, pomachała jej ręką, weszłam za róg drutów ogrodzenia. Mama stała koło obory, porozmawiałam. Dowiedziałam się, że ojciec wywieziony, nie wie gdzie. Powiedziałam, że Leon jest, ukrywa się. Zmartwiła się bardzo, pocieszałam ją, jak tylko mogłam. Na noc poszłam z tą dziewczynką do gospodarza, by pozwolił nam przenocować. Dali nam płachtę, by się przykryć w stodole. Zjedliśmy po kawałek chleba, ona miała herbatę słodką w termosie. Tobołki miałyśmy przy głowie. Nakryłyśmy się obie, tylko myszy po nas buszowały. Rano wstałyśmy, gospodyni dała nam po kubku mleka i pieroga z marchwią i fasolą w środku, ale było dobre. Zaczęłam młodego żołnierza koło obozu, pytam: „Kiedy będą więźniów prowadzić do kolei?”; [on] mówi mi, że: „Już ich wyprowadzili z obór na plac”. Wyprowadzili ludzi w transport, część chorych wieźli na podwodach, dzieci wcześniej wywieźli do sierocińca do Lublina siostrom zakonnym. Ja szłam [po] poboczu, szukając, gdzie idzie moja mama w tym tłumie nędzarzy. Trudno było [ją] dostrzec. Zobaczyłam mamę, szłam koło niej, podałam jej paczkę, mówi mi: „Paczką ojca podzielę się z żoną właściciela kina »Wenus« z Lublina i panią Popow oraz z Krysią z Lubli-

¹⁵ H. Pająk, S. Żochowski, *Rządy zbirów 1940–1990*, Lublin 1997.

na (ul. Słoneczna 5)”. Mojej mamie buty „zakopianki” ledwo trzymały się nóg; porwane, bo ostatnio ganiali więźniów do kamieniołomów, siedem kilometrów w jedną i w drugą stronę środkiem drogi, gdzie największe błoto. Wyprzedziłam obóz z więźniami, weszłam do domu przy drodze i mówię: „Nie ma pani jakiś gumowców starych? Niech mi pani sprzeda mojej mamie. A nie wiem, gdzie ich transport wywożą”. Kobieta mi sprzedawała gumowce całe, niedziurawe. Czekałam już na mamę, aby jej dać te gumowce, a całkiem porwane wyrzucić. Nasze drogi się rozstały na krzyżówkach. Dałam mamie jeszcze parę złotych, może uda się związać z transportem. Poszłam pieszo do Lublina, tej dziewczynki już nie spotkałam. Doszłam szczęśliwie do Lublina, jechało wojsko ze Świdnika i mnie podwieźli. U ojca chrzestnego przenocowałam i rano poszłam na dworzec kolejowy przez „Nową drogę”. Przyjechałam do Włodawy i opowiedziałam wujence wszystko, a moja wujenka mi mówi: „Wiesz, wczoraj Józio bawił się z p[anią] Krupów chłopczkiem, a spacerowało dwóch z UB, jeden był to Pajączkowski¹⁶, a włodawskiej bezpieki. Stanęli koło Krupów, a obaj chłopcy się bawili, i pytają, który to jest syn Taraszkiewiczów, ten czy ten? Krupa mówi: »Ten jest mój syn, a ten drugi to mały Taraszkiewicz«. A ubek mówi: »Trzeba tego małego zgładzić ze świata, bo jeszcze jeden bandyta wyrośnie«”. Krupa to powtórzył wujence, a wujenka mnie. Zaczęliśmy się naprawdę bać. W nocy nieraz ktoś łąził za wujenki domem. Ja spałam przy oknie, nieraz myślałam, że Pajączkowski rzuci przez okno wiązaną granatów i wszyscy zginiemy.

Do wujenki przyszedł list od mamy i ojca. Ojciec był we Włocławku, jest u ruskich pilotów, remontuje hangary, stoły robi, prycze do spania. Jest mu dobrze na lotnisku. Podał adres, ale to ktoś napisał, kupił znaczek i wysłał list. Mama pisze, że jest w Warszawie na Mokotowie razem z p[anią] Łodzią (żoną prawnika z Lublina). „Przyslij suchary, cebulę, mydło, ręcznik. Łodzi rodzina mi też pomaga” (to też oni wysłali list, bo władze nie pozwalały pisać listów). Moja mama zachorowała na tyfus, p[ani] Łodzianka dała jej kostkę masła, mówi: „Liz to masło, bo tu wody nie ma, a ta, co płynie po ścianie piwnicy, po gruzach, to brudna. Pamiętaj, będę ciebie ratować”.

[...] Mój ojciec też zostaje zwolniony bez jakiegogoś potwierdzenia na piśmie. Zawieziony do majątku PGR Lubraniec koło Włocławka. Tam spotyka właściciela ziemskiego z Pogierza zza Buga¹, pana Undrę. Ten prosi ojca, by nikomu nie mówił, że on jest ziemianinem i pochodzi zza Buga. Ojciec nam opowiedział o wszystkim. Dał ojcu robocze ubranie, trzewiki i umieścił go u swego pracownika. Ojciec pracował w warsztacie, też bez zapłaty. Tak wynikało, jakby ten człowiek nigdy nie istniał. Ojciec napisał do wujenki. Popielewicz przekazał list Leonowi. Już wiemy, gdzie jest ojciec. Mój ojciec chrzestny miał ogromne trudności, starając się o moich rodziców. Wiadomo, z jakich powodów – „Jastrzab”, „Żelazny”.

¹ *Tu i dalej w tekście Zabugu.*

¹³ Bronisław Zajączkowski (ur. 1913 r. w Zabrodziu, pow. Włodawa), narodowość polska, pochodzenie chłopskie, wykształcenie niepełne średnie, rolnik. Od 5 IX 1944 r. zastępca kierownika PUBP we Włodawie i kierownik kontrwywiadu tegoż urzędu; od 12 I 1945 r. kierownik grupy operacyjnej w pow. Końskie (woj. kieleckie). Skreślony z ewidencji UB 15 VI 1945 r. (*Rok pierwszy. Powstanie i działalność aparatu bezpieczeństwa publicznego na Lubelszczyźnie (lipiec 1944–czerwiec 1945)*, wstęp, wybór i oprac. S. Poleszak i in., Warszawa 2004, s. 269).

Jak to ciężko zaczynać ten życiowy zyciorys, ile uleciało z pamięci, a do ilu nie chce się powracać. Ale jednak wróćmy do tego momentu, jak młody ubek ostrzegł mnie: „Uważaj, bo ciebie i małego brata chcą sprzątnąć”. Szczerze o tym piszę, bo naprawdę bałam się. Bała się też wujenka. Kiedy spotkałam się na ulicy we Włodawie z Marysią Popielewicz, powiedziałam jej o tym, co mówił ubek. Marysi ojciec był przedwojennym komunistą, wierzącym, solidnym obywatelem, a nie komuno-faszystą, to jest pewna różnica. Nie pamiętam już, któregoś dnia lipca czy sierpnia [1945 r. – S.P.] Marysia dała mi znać, że mam przyjść do Korolówki do nich do domu. Poszłam krętymi drogami, by nikt i nic nie rzuciło się w oczy, gdzie idę. Szczęśliwie doszłam, dzień chylił się ku nocy. Czekaliśmy, ale nikt się nie zjawił. Zanim miał się zbudzić świt, zapukał Leon, mówi: „Chodź, Lola, bo do Włodawy już nie możesz wrócić”. Weszliśmy kawalek w las. Patrzę, a na wozie siedzi Józio okryty kolorową płachtą. Leon mówi: „To żona kowala, pana Franka, Józia okryła, bo było mu zimno, a konia wzięłam od Ukraińca z Suszna. Potem go puszczę na szosie”. Dojechaliśmy do leśniczówki. Panował tam ruch, bowiem niedaleko od leśniczówki zginął „Sęp”¹⁷. Ludzie [z] lasu się wycofali. Tylko Leon podszedł do mnie: „Ja po ciebie przyślę kogoś. Pilnuj Józia i sama nie oddalaj się od leśniczówki”. O przebiegu tych wydarzeń nie piszę, bo jest opisane dokładnie w książce p[ana] H[enryka] Pajaka, „*Jastrząb*” *kontra UB*¹⁸. Po tygodniu przyjechał po mnie „Pacanek” Gienek N.N.¹⁹ Zawiózł mnie z Józkiem do wsi Lipniak do p[ani] Zasadzkiej^k. Szliśmy oboje z Józkiem paść krowę na taki wygon, gdzie były krzaki, pełno żmij, żab. Ksiądz Krzywiec doradził Leonowi, żeby mnie i Józka zawiózł do Olszowa^l koło Woli Wereszczyńskiej^l, do kościelnego Jana Kruka. Byli to porządni ludzie, dziwiło mnie jednak, że mieszkańcy na wsi nie mają ani krowy, ani świniaka, ani kury, ani pieska. Tylko ojciec p[ana] Kruka zajął gospodarzkę ładną w Załuczu Nowym, po osadniku niemieckim, który wyjechał do Niemiec. Ojciec posiał synowi żyto, posadził kartofle i oboje z żoną opiekowali się córką i wnuczką, bo zięcia z innymi NKWD wywiozł w głąb Związku Radzieckiego do łagru, bo byli w AK, BCh. Zaraz po wkroczeniu wyzwolicieli nastąpiło masowe aresztowanie.

Mojej mamie ze Skoroszy^{m20} od Hasów pomogli parobkowie uciec. Dojechała do Lublina i poprosiła jakichś państwa, by ją wzięli do dorożki. Wzięli. W czasie kontroli – mówił ten pan – „To moja rodzina”. Zabrali moją mamę do siebie, do mieszkania na ulicę Kowalską czy Królewską koło Lubartowskiej w bok. Służąca zrobiła wszystkim kolację i przenocowali. Rano służąca odprowadziła moją mamę na ul. Ogrodową 10/16. Po drodze moja mama dowiedziała się, że ci państwo to rodzina Zamoyskich. Rano do ojca chrzestnego w Lublinie przyszedł Edward i Józef Popielewicz. Pojechali do Skoroszy po mamę, a jej już nie było. Legitymowali się tam jako władza.

^k W *tekście* Zasadzkiej.

^l W *tekście* Olszowy.

^l W *tekście* Woli Wereszczyńskiej.

^m *Tu i dalej w tekście* Skorosza.

¹⁷ Tadeusz Bychawski „Sęp”, dowódca obwodowej bojówki Obwodu DSZ Włodawa. Zginął w potyczce z UB-KBW 12 VI 1945 r. Po nim dowództwo objął Leon Taraszkiewicz.

¹⁸ H. Pajak, „*Jastrząb*” *kontra UB*, Lublin 1993, s. 40–42.

¹⁹ Stefan Koraczewski „Pacanek”.

²⁰ Wieś w gminie Winnica, pow. Pułusk.

Przywieźli moją mamę do Lipniaka koło Sosnowicy. Tam się razem spotkaliśmy u państwa Suchorabówⁿ. Ze wsi Olszowo^o zawieźli nas z mamą do wsi Grabniak do p[ana] Zielińskiego, stamtąd ponownie zawieźli nas koło Białki, tam u znajomego p[an] Kosiński ps. „Czarny” z Libiszewa^{p21} umieścił nas troje nad jeziorem Czarne u pana, co miał kiedyś gorzelnię w Parczewie (nazwiska nie znam). Mieliśmy mały pokój z kuchnią do gotowania, p[an] Kosiński się z nami kontaktował, dostarczał nam żywność. Następnie zawieziono nas do Stępkowa koło Parczewa do krewnego pana Stefana Kaznowskiego, Stanisława Okapa, był to starszy kawaler, samotny, mama mu zmarła, siostra wyjechała na zachód koło Malborka, wieś Mirowo, pocz[ta] Nowy Staw. Zaznaczam, ja miałam świadectwo tożsamości na nazwisko Janina Wybranowska, repatriantka z za Bugu. Mama miała z Józkiem na nazwisko Teofila Turska, też repatriantka z za Bugu.

„Jastrząb” orientował się w sytuacji na świecie i zaczął swoich ludzi z dobrymi dokumentami wysyłać na zachód. Tak jak Heniek Wybranowski miał dokumenty z Niemiec, z roboty przymusowej; Zdzicho Kogutowski²², żołnierz armii Berlinga, przeszedł szlak bojowy aż do Kołobrzegu. Pochodził ze Lwowa, syn wojskowego, ojciec wywieziony w nieznaną na terenie ZSRR^r. Dezerter z Witkiem Ulińskim²³. Podobno Zdzicho wpadł w konflikt ze starszyzną, co było powodem dezercji. Posiadał masę odznaczeń na szlaku bojowym, był wychowywany w duchu patriotycznym. Zaznaczam, po nas miał przyjechać 15 listopada 1946 r. Heniek Wybranowski i zabrać nas ze Stępkowa do Elbląga. Heniek mieszkał razem ze Zdzichem. Mieli mieszkanie dwupokojowe, kuchnia i łazienka. Heniek pracował u krawca, Zdzicho w prywatnym zakładzie malarskim.

Dnia 11 listopada 1946 r. zostawiliśmy Józka u krewnych p[ana] Okapa, Borysiaka, i poszłam z mamą do Parczewa, ja po odbiór spódnicy do krawcowej, mama do apteki i [po] drobne zakupy. Kiedy wracałyśmy już z Parczewa, jechały samochody, na jednym z nich byli bracia Tadek i Kazik Mazur. Pochodzili ze wsi Olszewo. Mnie poznali, zatrzymali samochód i lecą ubeki do mnie. Okazało się, że Mazurowie już wcześniej podpisali współpracę z UB, bo ich szwagier, Adam Chudziak, też poszedł do UB. Jeden z Mazurów, starszy, był aresztowany, jak

ⁿ W *tekście* Sochorabów.

^o W *tekście* Olszewo.

^p W *tekście* tu i dalej Zawelicze.

^r W *tekście* ZSSR.

²¹ W okresie wcześniejszym osada była nazywana przez miejscową ludność Zawelicz, Zawelicze.

²² Zdzisław Kogot *vel* Kogut, *vel* Kogutowski „Ryś”. Pochodził z Lwowskiego. Żołnierz I Armii WP. Z WP zdezerterował w listopadzie 1945 r. Dołączył do oddziału Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”. Poległ 24 XII 1946 r. w kolonii Woli Wereszczyńskiej w starciu z GO UB-KBW.

²³ Witold Uliński „Jawor” (ur. 1924 r.). Pochodził z Włodawskiego. W czasie okupacji żołnierz AK. W październiku 1944 r. zmobilizowany do organizowanego przez komunistów WP. Zdezerterował w październiku 1945 r. i dołączył do oddziału Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”. Opuścił oddział jesienią 1946 r. Nie skorzystał z amnestii w 1947 r. Do 1950 r. mieszkał na Warmii. Zwerbowany do współpracy przez Departament III MBP pod ps. „Łoza”. W 1950 r. wykorzystywany w operacji rozpracowywania oddziału Edwarda Taraszkiewicza „Żelaznego”. Aresztowany 26 III 1951 r. Skazany 11 II 1952 r. przez WSR w Lublinie na 15 lat więzienia. Zwolniony z więzienia 26 III 1954 r. (H. Pająk, „Jastrząb”..., s. 165; J. Kopiński, *Rozpracowywanie struktur konspiracyjnych AK-WiN na przykładzie działań operacyjnych WUBP w Lublinie w latach 1944–1956* [w:] *Wobec komunizmu. Materiały z sesji naukowej „Lubelskie i południowe Podlasie wobec komunizmu 1918–1989”, Radzyń Podlaski, 2 IX 2005*, red. D. Magier, Radzyń Podlaski 2006, s. 165).

tylko Sowietci przyszli na tereny Lubelszczyzny, i siedział w łagrze w ZSRR. Wszy go gryzły, jadł żaby, węże, zmię – oczywiście z głodu. Przeżył i wrócił spuchnięty z głodu, ale wyraził chęć niszczyć swoich bliskich i nie tylko. Jak mnie zatrzymano, moja mama poszła. Adres do Elbląga ona miała przy sobie. Mnie zabrali na samochód i przywieźli do Parczewa. W samochodach było dużo aresztowanych mężczyzn, między innymi Zygmunt Budzyński i Dawidek z Sosnowicy. W Parczewie pytają włodawiaka Kasperskiego, czy mnie zna, mówi: „Nie znam jej”. Kasperski pracował w UB we Włodawie. Nie powiedział ani słowa, że zna mnie. Wzięli, przyprowadzili Mazura, pytają, czy go znam, mówię, że „Nie znam tego pana!”, a pytają jego, czy mnie zna, on mówi: „To jest siostra »Jastrzębia« [i] »Grot« („Jastrzab” pod koniec działalności zmienił ps. na „Zawieja”, pierwszy ps. „Żelaznego” był „Grot”).

Moje świadectwo tożsamości zabrano mi i na drugi dzień powieźli mnie do Uhnina^s, Białki [pytać], czy mnie ktoś zna. Nikt się nie przyznał, że mnie zna. Ja oczywiście też nikogo nie znam. Po powrocie do Parczewa trzymają aresztantów na samochodach, już jest ciemno, wyruszają w drogę. Stają we wsi Przewłoka, trzymają nas w jakimś mieszkaniu gospodarza. Ja siedzę na kuferku przy piecu, spać mi się chce, aż tu wpada z krzykiem starszy rangą wojskowy i krzyczy do wojskowych: „Ładować aresztantów na samochody, a wy obaj (pokazał na żołnierzy) pilnujcie siostry »Jastrzębia«”. Pytam się tego wojskowego (on pochodził z Włodawy): „Co to za pośpiech?”. „Ano dlatego, że łącznik doniósł, że w Dębowej Kłodzie jest już »Jastrzab«”. Już się orientuję, że mama szczęśliwie doszła do Stępkowa i powiadomiła Stefana Kaznowskiego^{t24} w Stępkowie, a ten dalej powiadomił znanymi mu kanałami. Jedziemy w kierunku Włodawy, samochody gaszą światła, jadą po cichu, z dala widać inną szosę, też jadą kolumny samochodów i oni gaszą światła. Panuje ogólne zamieszanie, starszyzna mówi: „To »Jastrzab« zarekwirował samochody i jedzie nam przeciąć drogę!”, tamte i te samochody jadą w ciemności, wreszcie skręcili w prawo do jakiejś wsi. Ciemno we wsi, tylko psy szczekają, mnie wsadzili do szoferki, wojskowy dał mi pałatką się okryć. Poznałam kierowcę, był to serdeczny przyjaciel pana Stasia Okapa, był nieraz w Stępkowie. Znałam go i mówię do niego: „Panie Dziewulski, powie [pan] p[anu] Stasiowi, niech się niczego nie boi, ja nic nie powiem!”. Powiedział: „W porządku”, mówi: „Mam kawałek chleba ze słoniną, weź i zjedz, bo kiedy ci dadzą jeść, nie wiadomo”. Mówi: „Samochody zabrali ze »Społem« z Parczewa”. Ponownie wyruszamy w drogę, tym razem do Wisznic. Napis na drogowskazie. Samochody wjechały na duże podwórko, aresztantów zagonili do mieszkania. Gospodarze powstawali, poubierali się, więźniom kazali posiadać na podłodze, plecami jeden do drugiego. Jak wojskowi byli w kuchni, to ja poprosiłam tę panią o gęsty grzebień i dużą chustkę do nosa. Dała mi i ja jej mówię: „Mnie prędko nie

^s W *tekście* Uhnina.

^t *Tu i dalej w tekście* Kaznowskiego.

^{t24} Stefan Kaznowski „Liść” (ur. 1910 r.), w czasie okupacji niemieckiej członek AK. Po „wyzwoleniu” nadal w konspiracji. Od stycznia 1946 r. komendant placówki WiN w Parczewie. Ujawniony 4 III 1947 r. we Włodawie. Aresztowany 5 VIII 1951 r. Sądzony razem z Rozalią Taraszkiewicz. Wyrokiem WSR w Lublinie z 1 XII 1951 r. skazany na 10 lat więzienia za udzielanie pomocy oddziałowi Edwarda Taraszkiewicza „Żelaznego”. Zwolniony z więzienia w Strzelcach Opolskich 7 V 1956 r. (AIPN Lu, 26/468, Akta sprawy Stefana Kaznowskiego i Rozalii Taraszkiewicz).

puszczą, bo jestem siostrą »Jastrzębia«”. Przyniosła nam dzbanek mleka i swój chleb pokrojony. Wypiliśmy po kubku. Do ubikacji wypuszczali pojedynczo z dwoma wartownikami. Mijały godziny, a myśmy siedzieli i denerwowali się, jak też i gospodarze. Wreszcie jak robiło się już ciemno, wyruszamy, siedzimy na wierzchu w samochodach, zimno. Koło samochodu stoi Mazur, ja mówię: „P[anie] Tadku, miał się pan spotkać z »Grotem« ramię w ramię, w jednym szeregu, jak p[an] dawał buty, jak wrócił p[an] z łagrów z ZSRR, a teraz p[an] chce, żeby nas wszy gryzły, bo p[an] już zapomniał, że p[an] był w łagrze”. Ten się odwrócił, a Zygmunt Budzyński mówi: „Dla niego tylko sucha gałąź, bo zdrajca, a nie Polak”. Po Tadku Mazurze te słowa jak po sierści psa ściekły, odszedł dalej za samochody.

Zbliżamy się do Włodawy, na krzyżówkach we Włodawie stoi wojsko w budce, jest kontrola samochodowa. Żołnierze psioczą: „Jak »Jastrząb« w ubiegłym miesiącu napadł na Włodawę²⁵, to go nie kontrolowałeś”. Żołnierz złośliwie odpowiada: „Mądry jesteś teraz, trzeba było być wtedy na moim miejscu”. Wjeżdżamy na Aleje Piłsudskiego, Hitlera czy Stalina, dziś chyba już Aleje Wyzwolenia. Mężczyzn wysadzili do UB, a mnie wysadzili do willi doktora Rosiniaka. Nie wiem, czy była to główna komenda, czy placówka NKWD. W każdym razie wprowadzono mnie do starszyny NKWD, średniego wzrostu, raczej szczupły, o zębach sterczących do przodu, nierównych. Raczej brzydki mężczyzna. Pierwsze pytanie padło: „Gdzie »Jastrząb« ma magazyny z bronią?”. – Odpowiadam: „»Jastrząb« magazynów nie ma, ma to, co zdobędzie”. – „Gdzie twoja matka mieszka i mały brat?”. Mówię: „Wszędzie, gdzie się da”. – „A gdzie ostatnio mieszkała?”. – Mówię: „We wsi Lipniak (to nieprawda)”. Pyta mnie: „Dlaczego »Jastrząb« poszedł do lasu?”. Ja mu odpowiadam: „O! Oto to pan spyta złodzieja z Zabrodzia, p[ana] Pajęczkowskiego. To dobrze panu znany pracownik UB we Włodawie”. – „Dlaczego tak mówisz?”. Odpowiadam: „Bo »Jastrząb« przeprowadził wywiad osobiście we wsi Zabrodzie u jego sąsiadów i dowiedział się, że p[an] Pajęczkowski to był złodziejo-partyzant w czasie okupacji niemieckiej, walczył nie o wolność, tylko o szabrownictwo, i tak kiedy go sąsiad poczęstował bimbrem, to na drugi dzień nasłał łobuzów w pończochach na pysku i gospodarzowi zabrali wszystko bimber, i jeszcze sromotnie pobili”. Mówi do mnie starszyna: „Taki człowiek jak »Jastrząb« jest nam potrzebny”. A ja mówię: „Wierzę panu, ale wyście go sami do lasu wgonili. Jeżeli Niemcy go skazali na śmierć, to wiedział za co, ale za co wyście całą naszą rodzinę 18 grudnia 1944 r. zamknęli, to po dziś dzień nie wiemy – mówię. – Władza sprawiedliwa za jakieś przewinienie posadzi pod sąd, a wy coście robili? W waszym urzędzie we Włodawie więcej pracuje nacjonalistów ukraińskich niż Polaków, a druga sprawa, a gdzie się podzieli konfidenci gestapo we Włodawie? Przecież nie rozplynęli się, a może dziś i wam ci sami są potrzebni, już wyspecjalizowani?”. Mówi mi starszyna: „Wot, jak ich znasz, to powiedz, kto to taki?” – „Mego brata wydał w czasie okupacji

²⁵ 22 X 1946 r. sześćdziesięciopięciuosobowy oddział dowodzony przez Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia” podzielony na dwa pododdziały, poruszając się dwoma samochodami, rozbił w ciągu dnia trzy posterunki MO w Cycowie, Milejowie i Łęcznej, a następnie zaatakował PUBP we Włodawie, uwalniając ponad 100 więźniów. Ze strony UB poległo trzech funkcjonariuszy, a oddział podziemia stracił dwóch ludzi.

w ręce gestapo Zdzisław Muszyński, ale on wyjechał w Krakowskie do rodziny. Ja nie wiem, gdzie go szukać, ja sama jestem aresztowana”. Starszyna zaczął chodzić koło biurka w jedną i drugą stronę i wreszcie mówi: „Żebyś nam pomogła zlikwidować bandę »Jastrzębia«, nie jego osobiście, to byśmy ciebie puścili”. Odpowiedziałam: „Ja nie należę do żadnej organizacji, raz, że jestem w młodym wieku, a z drugiej strony »Jastrząb« mnie nie naraża”. Zawołał wartownika i kazał mnie zaprowadzić do UB. Dwóch wojskowych mnie zaprowadziło; zdali szefowi; wprowadzili do celi. Mała była, szyby powybijane. Pod ścianą siedział młody chłopak z gołą głową, w kufajce i spodnie kufajkowe, [w] trzewikach. Skulony. Mówię: „Dzień dobry!”. Nic nie odpowiedział, myślałam, że może niemowa albo głuchy. Zimno, brudno, w rogu kibel zardzewiały, jest piec obok, dwa otwory do wybierania sadzy, drzwiczki, te wcale się nie zamykają. Szczury wysadzają łeb. Wzięłam pokrywę z kibla i oparłam o drzwiczki. Położyłam się na pryczy pośrodku, butów nie zdejmowałam ani chustki z głowy. Nakryłam się moją jesioneczką i zasnęłam. Obudziło mnie szarpanie koło głowy, za kołnierz. To były szczury. Znów wojnę z nimi toczyłam, stukałam pokrywę, straszylam je i znów zwinęłam się i zasnęłam. Wczesnym rankiem obudziłam się, chłopaczyna jeszcze spał. Poszłam się wysusiać do kibla. Zakryłam kibel, myślałam, że puszcza się umyć, ale skąd. Szczury łapami poroznosiły sadze po pryczy. Chłopak się obudził, zdjął kufajkę, pozamiatał nią pryczę i ubrał [się] z powrotem. Otworzyły się drzwi, odźwierny kazał dwóm więźniom wziąć kibel do wylania. Spytałam: „Nie macie trochę wody do umycia?”. Jeden się odezwał: „Już czwarty miesiąc siedzę bez mycia, dziewczyno! Dziękuj Bogu, że kibel wylewają, bo był okres, że i kibla nie wylewali!”. Po dłuższej chwili odźwierny przyniósł puszkę dużą po konserwach umytą i nosili kawę zbożową oraz dostałam klinik chleba. Czułam, że zaczynają chodzić po mnie „błyskoty”, pomyślałam: „Przecież wszy nie fruują, skąd by nalazły, spałam pośrodku pryczy, ale widać był taki pluton wszy, że szedł po pryczy, a może i po ścianie”. W celi zimno. Do chłopca gadam, a [on] nic, ni me, ni be, ani po rusku, ani po polsku. Przed obiadem chłopca zabrali do mężczyzn, obok do celi, gdzie siedział Budzyński i Dawidek z Sosnowicy. Mnie wezwano na górę, formalności, zdjęcia, odciski palców, obiecane już 10 lat więzienia. Zabierają [mnie] do drugiego pokoju i znów pytania, nieraz zupełnie bezmyślne i o różnej treści: „Gdzie »Jastrząb« ma swoją dziewczynę?”; „Z jakimi księżmi jest w kontakcie?”. Wreszcie zadają mi pytanie: „Słuchaj, my wiemy, że twoja matka wy dostała dużo osób z obozu na Majdanku, to znaczy, że musiała mieć znajomości z Niemcami, a że miała znajomości, to znaczy, że twoi bracia byli oprawcami niemieckimi w SS”. Ja mówię: „Przecież wy, panowie, możecie sprawdzić, gdzie moi bracia byli. Podaję wam adres, to jest obecnie na terenie Niemiec^u. Tam jest biuro Arbeitsamtu^v, tam są wszystkie dane”. „No, my wszystko wiemy. Twój brat Leon był w partyzantce, on był celowo od Niemców nasłany”. Mówię: „To dziwne, że panowie tak wszystko wiecie. Leon miał 30 ludzi pod sobą w partyzantce. Wykonał trzy zadania. Przecież szedł do oddziału »Jaremy«, a nie do »Anatola«. Mój brat bardzo sobie chwalił »Anatola«, był to wspomniały dowódca, sprawiedliwy, odważny, nie dekował się, prawdziwy żołnierz”. Zadałam pytanie: „Panowie,

^u W tekście NRD.

^v W tekście Arbeitsamtu.

opowiadał mi p[ani] Sierpińskiej syn, którego ojciec zginął w obozie, że prawdopodobnie we Włodawie było 27 niemieckich konfidentów i wy ich nie szukacie? Czyżby tylko wam było wiadomo o Chwadożewskich^w, jawnych konfidentach gestapo? A może po prostu dziś są wam tacy ludzie potrzebni, z doświadczeniem, przeszkoleniem?”. Moi rozmówcy się obrazili: „Nu, nie ty będziesz zadawać nam pytania, a my tobie”²⁶. Na śledztwa wzywali o różnych porach. Obróbka była różna.

Któregoś ranka słyszę warkot kilku samochodów na podwórku. Wywołują mnie, źle jest przejść, stoją rusztowania, bo były schody podminowane, jak „Jastrzęb” zrobił skok na UB i wypuścił 146 więźniów. Prowadzą mnie, serce mi bije, myślę: „Na Boga, co tam znowuz?”. Odkrywają płachtę zieloną, leży trup. Pytają, czy go znam? „Nie znam, bo ja nie jestem żadnym członkiem podziemia, już wam o tym mówiłam”. „To sobie przypomnisz!”. Nie wiedziałam, co to ma znaczyć, że mam sobie przypomnieć. Naprawdę widziałam tego chłopaka²⁷, wiem, że to był brat „Roga” – Feliksa Majewskiego²⁸ z Sosnowicy. Na wieczór otwierają się drzwi, wnoszą zwłoki do celi, mówi do mnie enkawudzista: „Ty sobie przypomnisz, kto to taki!”. Kładą jak drewno. Zwłoki młodego mężczyzny blisko pieca (nie palone), nogi bose sterczą poza pryczę. Drzwi się zamknęły, słychać śmiechy na korytarzu. A w mojej piersi tak serce bije mocno, [jak]by się jakiś ptak szarpał wewnątrz.

^w W *tekście* Hwadożewskich.

²⁶ W aktach procesowych nie zachował się stenogram o treści przywoływanej przez autorkę. Natomiast w protokole przesłuchania podejrzanego z 15 XI 1946 r. Lola Taraszkiewiczówna przed oficerem śledczym PUBP we Włodawie Janem Pieszakowskim zeznała: „Podczas okupacji niemieckiej zamieszkiwałam we Włodawie przy rodzicach, w międzyczasie uczęszczałam do nauki w szkole powszechnej. Ponadto pomagałam swym rodzicom w pracy gospodarstwa domowego. Natomiast matka moja, pochodząc z Niemiec i będąc pochodzenia narodowości niemieckiej, za okupacji niemieckiej interweniowała do władz niemieckich o swem pochodzeniu ww., przez co była później wzywana na Komisję Kwalifikacyjną, gdzie została uznana i otrzymała dokumenty pochodzenia narodowości niemieckiej jako »volksdeutsch«. Tytułem powyższego rodzina nasza prócz ojca, tj. Leon, Edward, Władysław, Józef oraz ja Taraszkiewiczze otrzymywaliśmy niemieckie karty żywnościowe im przydziałowe oraz korzystaliśmy z wszelkich przysługujących uprawnień i przywilej jako »volksdeutsche«. Obaj ww. bracia Edward i Leon Taraszkiewiczze za okupacji niemieckiej jako »volksdeutsche« służyli w niemieckim wojsku, starszy brat Edward w Niemczech, a Leon w Gen[eralnym] Gubernat[orstwie] w niemieckim wojsku SS. O dokładniejszym przebiegu ich służby wojskowej nie jest mi wiadomym. Wiem tylko, że Edward służył aż do upadku władzy niemieckiej, natomiast Leon w roku 1943 zbiegł z SS i ukrywając się przez dłuższy czas przed władzami okupacyjnymi Polski, po czym wstąpił do oddziałów partyzanckich AL pod dowództwem »Anatolego« [...]» (AIPN Lu, 17/1248, Akta sprawy Feliksa Prucnała i innych, Protokół przesłuchania podejrzanego Loli Taraszkiewiczówny z 15 XI 1946 r. w PUBP we Włodawie, k. 199–201). Zawarte w tym protokole przesłuchania sformułowania służyły później funkcjonariuszom UB/SB jako „dowód” tego, że bracia Taraszkiewiczowie służyli w niemieckim wojsku. W innych swoich zeznaniach Rozalia Taraszkiewiczówna nie potwierdziła tych informacji. Co więcej, oprócz informacji zawartych w tym protokole brak jest innych dokumentów, w których zawarte byłyby takie fakty.

²⁷ Zygmunt Majewski „Lenin”, pochodził ze wsi Zbójno, pow. Włodawa. W 1945 r. pełnił funkcję łącznika komendanta Obwodu WiN, następnie był żołnierzem oddziału Leona Taraszkiewiczza „Jastrzębia”. Zginął 26 XI 1946 r. w walce oddziałów partyzanckich Leona Taraszkiewiczza „Jastrzębia”, Józefa Struga „Ordon” i Zdzisława Brońskiego „Uskoka” z GO KBW pod Świerszczowem.

²⁸ Feliks Majewski „Róg”, komendant 2. Rejonu w Obwodzie WiN Włodawa, który obejmował gminy Wola Wereszczyńska i Wołoskowola. Ujawniony wiosną 1947 r., aresztowany 6 VIII 1947 r., skazany przez WSR w Lublinie na karę wieloletniego więzienia.

Przecież w obozie zagłady też budziłam się nieraz wśród trupów, ale nie byłam sama, tu jestem sama w celi, nawet pomagałam na płaszczu znosić mamę zmarłą p[ani] Krysi i Jadzi z ul. Słonecznej z Lublina, prycze były podwójne w obozie, jedna drugiej pomagała, a potem więźniowie zabierali zwłoki i wieźli na wózku dwukolowym w choinki. Nikt nie wiedział, gdzie jego bliscy [są] pochowani. Minał jeden dzień, nie zabierają zwłok. Kibel postawiłam na pryczę i pokrywę przytknęłam do drzwiczek, skąd wychodziły szczury, bo zaczęły chodzić po trupie. W nocy drapały, żeby wyleźć, w ścianie cegły Budzyński zrobił szparę i chlebem zakleił, a w nocy z nim rozmawiałam, to od nich zawsze się coś dowiedziałam. Opowiadał mi Budzyński, że już były takie metody, że po 30 osób było w celi i kibla nie wylewali. Ludzie chodzili po łajnie, komary fruwały, ludzie mieli rany na ciele, bo pod pryczą aż był mech biały i pełno robili. Wtedy Adaś Ciepłowicz^x „Vis”²⁹ mówi, to oni robią metodą Mao albo Kim Ir Sena, i jak przynieśli obiad, to chłopcy wylali im na korytarz i pełen kibel. Strajk! I poskutkowało podobno. Ja byłam sama, śmieli się, głupie żarty sobie strugali ze mnie. Obiecywali mi, że na drugi tydzień przywiozą mi zwłoki braci itd. Po trzech dniach zabrano zwłoki, wywieźli w niewiadomym kierunku i zakopali, albo [na] kirkut, albo do Bugu wwalili, co było najłatwiej.

Grzebień blaszany, aluminiowy, bardzo mi był pomocny, oblażłam wszami jak pęczek, chyba z miczurynowskiej^y hodowli. Bieda, zostawiam trochę herbaty, pomoczę chusteczkę, dużą męską, bo mam dwie, i wytrę mokrą twarz, uszy, szyję. Mam okres, nie ma opasek, ligniny, waty, tylko dwie chusteczki do nosa i to musi sytuację ratować, mam obcisłe figi i ciepłe reformy, leją mi rano więcej herbaty, chusteczkę w reszcie herbaty wycisnę, własnym moczem się podmywam chusteczką wyciśniętą, wycieram do sucha puszkę, wyciskam i suszę chusteczkę na oknie przy kracie. W nocy Budzyński puka trzy razy w ścianę koło otworu w ścianie i ja mam chlebem zaklajstrowane, zaznaczone kredą. Mówi mi, że zaprowadzili ich szczęściu w nocy na kirkut i kazali się rozbierać, ale mówi: „Ja zacząłem krzyczeć: »Nie, panowie, Niemcy tu wieszali Polaków, a wy chcecie być takimi samymi zbrodniarzami«. I zaczęliśmy wszyscy krzyczeć: »Będzie wam drugi Norymberg«. I przyprowadzili nas z powrotem do celi”.

Przed samymi świętami wywieźli nas do Lublina, na Krakowskie Przedmieście, róg Krótkiej. Jest duża cela, pełno kobiet. Jest już rażniej, umyłam głowę w ciepłej herbacie, umyłam się, wyczesalam głowę. Wieczorem było ogólne polowanie, bo wszystkich nas gryzły „blyskoty”. Czy to była Kira Wróblewska ze Zwierzyńca, czy p[ani] Maria Dąbrowska z Lublina lub Gabrysia z wiatraka z Zawady koło Zamościa. Wezwano mnie na śledztwo. Moim śledczym był Wiktor Sawicz³⁰. Przyniósł

^x W *tekście* Ciepłowicz.

^y W *tekście* miczurynowskiej.

²⁹ Jan Adam Ciepłowicz „Vis” (ur. 1926 r. we Włodawie). Od maja do listopada 1945 r. żołnierz oddziału partyzanckiego dowodzonego przez Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”. Następnie przebywał na terenie pow. Gorzów Wielkopolski, posługując się fałszywymi dokumentami na nazwisko Antoni Dobrzyński. Aresztowany 3 XII 1949 r. przez PUBP w Gorzowie Wielkopolskim. Skazany 16 I 1951 r. przez WSR w Lublinie na karę 10 lat więzienia. Zwolniony 2 XII 1956 r. (AIPN Lu, 20/390, Akta sprawy Jana Ciepłowicza).

³⁰ Wiktor Sawicz (1925–1989), chor./kpt. UB, ur. w Dratowie, pow. Lubartów, narodowość ukraińska, pochodzenie chłopskie, wyznanie prawosławne, wykształcenie podstawowe, z zawodu rolnik, członek PPR/PZPR. Od wiosny 1944 r. w oddziale partyzanckim AL dowodzonym przez Grzegorza

moją teczkę, którą miałam przy aresztowaniu. Było tam kilo cukru, spódnica od krawcowej, mydło, pończochy zwykłe. Mówił, że to jest moje do oddania. Zaczęli obaj rozmawiać ze [sobą], Stefan z Wiktorem. Okazało się, że Stefan to ten sam, co był z Leonem w partyzantce w czasie okupacji. Leon oraz Stefan we dwóch otrzymali odznaczenia „Czerwoną Gwiazdę Związku Radzieckiego”. Wiktor mówi: „Siadaj!”. Stefan opowiada Wiktorowi o Leonie: „Niesamowicie odważny, koleżeński, szybka orientacja. Miał 30 ludzi pod sobą i z każdym znalazł wspólny język”. [Stefan] mówi [dalej]: „Nie mogę go odzalaować. Dlaczego tak się stało?”. A ja się odezwałam: „To jest robota Pajęczkowskiego, bo my nie wiemy po dziś dzień, za co nas aresztowano 18 grudnia 1944 r. Przed wywiezieniem na Majdanek zdążyliśmy uciec do pana Zarczuka do [...]”^z. Stefan pokiwiał głową, podał mi rękę i Wiktorowi i wyszedł. Wiktor do mnie mówi: „Co ci jest, że nie możesz chodzić?”. [Odpowiadam]: „Bołą mnie kostki i stopy. Chodzę w kapciach jednej z więźniarek”. [Wiktor powiedział]: „Ja ci sprowadzę lekarza, bo nie wiadomo, co to może być. Może masz zapalenie stawów”. Śledztwo przeprowadził. Przyszedł do niego też młody wojskowy, ze wciśniętą blizną na boku czoła. Obaj sobie jeszcze pozartowali. Kiedy już szłam do piwnicy, nogi bolały mnie jeszcze gorzej. Przy schodach Wiktor podał mi rękę: „Trzymaj się. Postaram się jak najszybciej ci sprowadzić lekarza, jeszcze dziś zgłoszę szefowi”. Rano Wiktor sam przyszedł po mnie, nie wartownik: „Wzywa ciebie mój przełożony”. Podał mi rękę, mówi: „Lola, trzymaj mnie mocno, a u góry będziesz szła sama, przy ścianie, a ja obok”. Mówię do niego, że p[ani] Ala [...]^{aa} dała mi krople, rzekomo przeciw bólowi, a on mówi: „Dziewczyno, to prostytutka i złodziej, i handlarz dolarowa”. Mówię: „Myślę, że mnie nie otruła”. Wprowadził mnie, a sam wyszedł. Na biurku leżały jakieś papiery. [Śledczy je] przeglądał, zadawał mi parę pytań. Odpowiadałam. Wszedł Lachowski^{ab31}. Zaczął wokół mnie robić wygibasy: „A wy, nu, czekacie na Andersa, co wam faszyzm pachnie? My wszystkie dobijemy bandy itd.” Wiktor wszedł, mówi: „Lekarz przyszedł, musi iść do celi na badania”. Zeszliśmy na dół. Wiktor zostawił lekarza, sam poszedł do góry. W celi usiadłam na pryczy. Lekarz zbadał nogi, popuchły, zapalenie stawów. Dostałam zastrzyk i tabletki do brania. „Nie powinienem pani zostawiać, ale myślę,

Korczyńskiego „Grzegorza”, ps. „Brazowy”. W UB od 19 IX 1944 do 31 XII 1956 r.; od 1 II 1959 do 30 IX 1976 r.; od 1945 do 1956 r. oficer śledczy WUBP i WU ds. BP w Lublinie; od 1959 r. do końca 1960 r. ponownie oficer śledczy KW MO w Lublinie. Następnie oficer techniki operacyjnej (S. Poleszak, *Pion śledczy WUBP w Lublinie. Struktura i ludzie (sierpień 1944 – kwiecień 1947)*, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2005, nr 1/2, s. 58).

^z Zanonimizowano w oryginale.

^{aa} Zanonimizowano w oryginale.

^{ab} W tekście Lachoski.

³¹ Mikołaj Lachowski, plut. WP, ppor./mjr UBP, ur. 1925 r. w Krzemieńczuku k. Połtawy (ZSRR), narodowość polska, obywatelstwo sowieckie, pochodzenie robotnicze, bezwyznaniowiec, wykształcenie niepełne średnie, ślusarz, członek PPR/PZPR. Od sierpnia 1941 r. w Armii Czerwonej, od maja 1943 r. żołnierz 1. DP im. Tadeusza Kościuszki, od kwietnia do lipca 1944 r. słuchacz szkoły NKWD w Kujbyszewie. W UB od 21 VIII 1944 do 1 VI 1954 r.; od 18 XII 1944 r. zastępca kierownika PUBP w Zamościu; od 12 I 1945 r. zastępca i p.o. kierownika, a od 28 VI 1945 r. kierownik PUBP w Zamościu; od 20 VIII 1945 r. naczelnik Wydziału III WUBP w Lublinie; od 21 I 1949 r. zastępca naczelnika Wydziału IV, a następnie VI Departamentu Ochrony Rządu MBP; od 1 II 1950 r. naczelnik Wydziału I tego departamentu; od 1 VII 1953 r. wicedyrektor Departamentu Ochrony Rządu MBP. Wyjechał do ZSRR (*Rok pierwszy...*, s. 54).

że pani nie popełni jakiego desperackiego kroku”. „O nie, panie doktorze, choć w biedzie, ale chcę żyć”.

Przeprowadzono nas na drugą stronę piwnic, obok w celi siedzieli studenci skazani na karę śmierci. Byli to młodzi chłopcy, żal nam ich było. W celach męskich wybuchały awantury, to nerwy robiły wszystko. Wprowadzono do nas bardzo ładnie ubraną [panią], brązowy płaszczyk, lisek, obszyty koł[nierz] szalowy, zakopiański berecik na głowie. Tylko weszła i zaraz z wartownikiem za drzwiami pogadanka. Więźniarki są bardzo uczulone na takie „cicho-cicho”. Z mety zaczęła się kręcić, mówi, że pochodzi z Kijan, że jest sympatią „Uskoka”³², że „Uskok” bardzo sobie chwali „Jastrzębia”, że ona ma braci, to ją z UB wydostaną, że jest nauczycielką. Patrzyłam na nią, ale tak sobie myślałam, czy ten „Uskok” to taki stary chłop, że ma taką starą panią za swoją adoratorkę. Na drugi dzień mnie pyta, jak ona wyjdzie, to chętnie by się z „Jastrzębiem” zobaczyła, ale mam powiedzieć gdzie. Ja jej mówię: „Proszę pani, ja nie znam ich dróg. Pani wybaczy, to nielogiczne pani pytanie. Czy pani zna miejsca »Uskoka«, tak ja też nie znam miejsca »Jastrzębia«”. Już wieczorem ją zabrali. Kim była? Po wielu latach wyszło. To był szpicel celowo do celi wsadzony. Podawała się za nazwisko Maria Jęczko³³.

W którąś zimową noc wzywają mnie, przyprowadzają do pomieszczenia obok dyżurki. Jest pełno wojskowych, leżą zwłoki młodego mężczyzny, na twarzy odtaje zmarzlina. Pytają mnie: „Czy to twój brat?”, ja mówię „Nie!”. Przyświecają lampą reflektorową [na] twarz. Ja mówię: „Panowie, to nie mój brat”. Każą mnie wziąć rękę trupa i mówią: „To po rękach go poznawaj!”. Ja [mówię]: „Panowie, to nie jest mój brat, ja tego człowieka nie znam!”. Faktycznie budową, blond włosy, ciemne rzęsy, brwi, był podobny do Leona, ale to nie był mój brat. Podobno na następny dzień zgłosiła się siostra po swego brata. Zginął we wsi Okalew^{ac} koło Parczewa³⁴, miał pseudonim „Biały”³⁵, bardzo był przystojny chłopak.

Mijały dni pełne nerwów, napięcia nerwowego, bóle głowy. Udzielało się też nerwowo od drugich osób. Zbliżała się Wigilia. Myślałam, gdzie teraz jest mama z Józiem, co z moimi braćmi? Przyszła Wigilia, połamałiśmy się kawałkiem chleba. Każda miała łzy w oczach albo łzy płynęły, ale mówiły: „Ja nie płacę, te łzy

^{ac} W *tekście* Okalewo.

³² Zdzisław Broński „Uskok” (1912–1949), ppor./kpt. AK-WiN, ur. w Radzicu Starym, pow. Lubartów, pochodzenie chłopskie, wykształcenie niepełne średnie. Od jesieni 1943 r. organizator i dowódca oddziału partyzanckiego, z którym walczył w akcji „Burza”. Ścigany przez NKWD, pozostał w konspiracji. Zastępca, następnie komendant 1. Rejonu Obwodu AK Lubartów. Wiosną 1945 r. reaktywował lotny oddział partyzancki podporządkowany DSZ-WiN. Następnie dowódca oddziałów zbrojnych Obwodu WiN Lubartów. Od 12 IX 1947 r. dowódca pozostałych oddziałów partyzanckich operujących na terenie Inspektoratu Lublin. Otoczony 21 V 1949 r. w bunkrze w Dąbrówce (obecnie Nowogród, pow. Lublin) przez grupę operacyjną UBP-KBW-MO, popełnił samobójstwo (S. Poleszak, *Zdzisław Broński (1912–1949)* [w:] *Konspiracja i opór...*, t. 1, s. 64–66).

³³ W dokumentach UB występuje Marta Jędrzko „Dzikuska”, łączniczka WiN. Aresztowana 25 XII 1946 r., skazana 17 III 1947 r. przez WSR w Lublinie na 3 lata więzienia. Zwolniona na mocy amnestii (AIPN Lu, 0136/4, Kwestionariusze członków nielegalnej organizacji AK-WiN, oddziału zbrojnego pod dowództwem Brońskiego ps. „Uskok” stanowiące załącznik do charakterystyki nr 1, Kwestionariusz osobowy Marty Jędrzko, k. 27).

³⁴ 1 I 1947 r. oddział „Jastrzębia” został zaatakowany przez GO UB-KBW ścigającą partyzantów, którzy poprzedniej nocy przeprowadzili akcję na PUBP w Radziniu Podlaskim. W starciu partyzanci stracili dwóch zabitych. Po stronie GO było pięciu zabitych.

³⁵ Kazimierz Kłosiński.

same płyną”. Niektóre panie miały dzieci, nie wiedziały też, co jest z mężem. W ten dzień wigilijny dręczył mnie jakiś niepokój. Podświadomie widziałam znajomych chłopców: Zdzicha Kogutowskiego [vel] Kogut pseu[donim] „Ryś”, lwowianin, dezerterski z armii Berlinga, syn wojskowego, którego ojciec zginął w Katyniu. Po powrocie z więzienia dowiedziałam się, że właśnie w Wigilię zginął „Ryś”, jego amunicyjny „Słoń”³⁶. Ten wieczór chłopcy nazwali „Krwawą Wigilią”. „Ryś” i „Słoń” pochowani są na starym cmentarzu w Woli Wereszczyńskiej. Dopiero po miesiącu wykopano ich dwóch z podwórka u Zielińskich, gdzie UB spaliło całe gospodarstwo. „Żelazny” z kolegami umyli ich, to jeszcze z ran płynęła krew, ciało było zmarznięte, a przy myciu ciepłą wodą odtajało. Ubrali, włożyli do trumny i pochowali, oddając salwę honorową. Ksiądz wieczorem tylko przyszedł, pokropił mogiłę. „Ryś” miał dużo odznaczeń z wojska. „Ryś” był bardzo lubiany przez „Jastrzębia” i „Żelaznego”, koleżeński, odważny, wielki patriota. Wspominał często o dwóch siostrach i bracie Polusiu.

A jednak moje smutne przeczucie coś wyczuwało w ten wieczór wigilijny. Po świętach znów śledztwo, nowe pytania. Jest Nowy Rok 1947 r., panowie z przeciwnej celi składają nam życzenia – wiadomo – wolności. My też sobie życzymy nawzajem wolności. Jest styczeń z 3 na 4, nie mogę spać. Siedzę skulona na pryczy, patrzę w jeden punkt, gdzie pada zasłonięte gazetą światło żarówki. Wydaje mi się, że jest [tam] jakaś wysoka postać. Patrzę na osłoniętą gazetą żarówkę. Co się ze mną dzieje? „Jastrząb” wtedy zginął w Siemieniu³⁷. „Kłosa” – Janusz Tracz z Obwodu Radzyń [Podlaski] [WiN] zabrał „Jastrzębia”, ludzie „Kłosa” pochowali „Jastrzębia” tajemniczo³⁸.

Moje śledztwo dobiegało [ku] końcowi; raz, że byłam małoletnia i po prostu byliśmy bezdomni, to dzięki szubrawcowi Pajączkowskiemu z Zabrodzia. Nie wiem, dlaczego mnie samą wywożono, a nie „suką” razem z innymi więźniami. Ubrałam [się w] moją brudną jesionczynę, chustkę na głowę, ręcznik zwinęłam w spódnicę i wyszłam. Czekał na mnie Wiktor Sawicz w taksówce. Siedział kierowca i p[an] Huszcza^{ad39}. Huszcza był przedwojennym komunistą, ale nie komunistą-faszystą. Przez więźniów był nawet chwalony. Jedziemy, nie wiedziałam, gdzie mnie panowie odwożą. Zbliżamy się do Zamku Lubelskiego. Huszcza mówi: „Wieziemy ciebie pod topory”. Faktycznie, wieńczą główną bramę dwa topory. Weszliśmy przez bramę, bramy, kraty, do biura, Sawicz zdał jakieś pis-

^{ad} *Tu i dalej w tekście* Chuszcza.

³⁶ Józef Milaniuk.

³⁷ 3 I 1947 r. około trzydziestoosobowy oddział Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia” zaatakował sjonujący w szkole w Siemieniu oddział KBW. W trakcie ataku śmiertelnie ranny został „Jastrząb”. Miał zostać postrzelony przez partyzanta „Bolka”-„Łapkę”, agenta UB.

³⁸ Został pochowany na cmentarzu w Siemieniu. Mimo długotrwałych poszukiwań UB nie udało się zlokalizować miejsca pochówku. Zostało ono ujawnione dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych XX w.

³⁹ Jan Huszcza, sierż./kpt. UBP, ur. 1912 r. w Brzezinach, pow. Krasnystaw, narodowość polska, pochodzenie chłopskie, wykształcenie niepełne podstawowe, rolnik. W UB od września 1944 do 1 XII 1961 r.; początkowo służył w PUBP w Krasnymstawie, gdzie był m.in. zastępcą kierownika urzędu; od maja 1945 do czerwca 1948 r. był oficerem śledczym WUBP w Lublinie, pełniąc m.in. funkcję zastępcy kierownika Wydziału Śledczego. Następnie do 1950 r. pełnił tę samą funkcję w WUBP we Wrocławiu i Olsztynie. Pracował również w MBP. Był naczelnikiem więzienia Warszawa Służewiec i zastępcą komendanta ds. szkolenia Ośrodka Szkolenia Aparatu Kierowniczego Służby Więziennej Centralnego Zarządu Więziennictwa (*Rok pierwszy...*, s. 260).

mo, podszedł do mnie, podał mi rękę i powiedział: „Nie załamuj się, wyjdiesz podczas amnestii”. Wyszedł. Po mnie przyszła oddziałowa, zaprowadziła mnie na oddział do celi zwanej kwarantanną. Weszłam, powiedziałam: „Dzień dobry paniom”, ale zauważyłam, że bardzo dwie panny tresują panią Alę Kociubińską, do tego stopnia, że podobno wzięły do pralni jej rzeczy i same się w nie ubrały, to znaczy bieliznę. Ala się upomina, a te na nią z gębulką i odpowiedzią „łaciną”. Śpimy razem z Alą, te dwie to są prostytutki, siedzą za kradzież. Ala wydała kartki żywnościowe nielegalnie i ją posadzili. Babcia z zamojskiego, ze wsi Łabunie, siedzi, bo sprzedawała cielęcinę. Tylko ja na razie jedna między nimi jestem „zgnięła reakcja”, „ropień na zdrowym ciele”, „faszystka” itd. Na drugi dzień przyszła p[ani] Krystyna Szpakowska z Chełma od „Młota”⁴⁰; p[ani] Maria Wiśniewska z Uchań, ukrywał się jej brat, żona przedwojennego oficera. Pracowała z dzieckiem i mieszkała w majątku pana Du Chateau^{ac} w Uchaniach. Po tygodniu dano nas do celi 38a i 38b, a prostytutki poszły do domu, ale pod koniec to się podporządkowały. Alę Kociubińską dali do innej celi. Rozstałyśmy się, ale była w celi nr 38. Miła i sympatyczna pani Irena Słomczewska z Chełma, ul. Słowackiego 12/7. Nawet w więzieniu można się zaprzyjaźnić, to bardzo ważne, to ułatwia wypełnianie luki samotności, tęsknoty za wolnością.

W więzieniu byłam jeszcze wzywana, niby śledztwo, niby straszenie, ale i przez to przebrnęłam. Na Zamku do celi przyprowadzili Jagusię C.[...] ^{af}, miała porwaną spódnicę, opowiedziała mi o swoich perypetiach we włodawskim UB. Ukrainiec nazwiskiem [...] ^{ag} bił ją, kopał, targał za włosy i porwał spódnicę, gwałcił, ile tylko chciał, i bił. Mówiłam Jagusi: „Trzeba było iść z wartownikiem na skargę do szefa UB”. Jagusia mówi: „A co oni lepsi, też Ukraina”. Babcia z Łabuń dała mi bluzkę z paczki amerykańskiej, dałam Jagusi i nową spódnicę uszytą przez krawcową w Parczewie. Jedna drugą wspomagała. Krysia Szpakowska ^{ah} mówi: „Lola, ty nie masz stanika, to ci biust zniekształci”. Nawet o tym nie myślałam. Krysia dała mi stanik, bo miała dwa. Teresa Wyczółkowska z K[atolickiego] U[niwersytetu] L[ubelskiego] obdarowała mnie ciepłymi skarpetkami.

Mijały dni pełne nadziei o amnestii. O czym, na Boga, więzień może myśleć, jak nie o amnestii? Jest dekret o amnestii. Nie wiadomo, kogo obejmie. Czekamy z dnia na dzień. Już są pierwsze zwolnienia. W marcu wzywają: „Taraszkiewicz, przygotujcie się, idziecie na wolność!”⁴¹. Na Boga, serce mi bije jak młot, myślę:

^{ac} W tekście Diszatto.

^{af} W oryginale autorka podała pełne brzmienie nazwiska.

^{ag} Zanonimizowano w oryginale.

^{ah} W tekście Szpakoska.

⁴⁰ Henryk Lewczuk „Młot”, pchor./por. AK-WiN, ur. 1923 r. w Chełmie, pochodzenie robotnicze, wykształcenie średnie. Od połowy sierpnia 1944 r. słuchacz Oficerskiej Szkoły Artylerii w Chełmie. W marcu 1945 r. zdezerterował. Organizator i dowódca oddziału zbrojnego podporządkowanego strukturom Obwodu DSZ-WiN. Ujawniony wraz z całym oddziałem. W lipcu 1948 r. w obawie przed aresztowaniem przedostał się do Francji. Karierę zawodową na obczyźnie rozpoczął jako robotnik, a zakończył na stanowisku dyrektora Centrum Obliczeń Komputerowych w Fontainebleau pod Paryżem. W 1992 r. powrócił do Polski. Współorganizator Ruchu Odbudowy Polski, w latach 1996–2002 wiceprzewodniczący Zarządu Głównego. Od 1994 r. przewodniczący Rady Miejskiej w Chełmie, w latach 1998–2001 radny Sejmiku Województwa Lubelskiego, od 2002 r. poseł na Sejm RP z ramienia Ligi Polskich Rodzin. Mieszka w Chełmie.

⁴¹ Rozalia Taraszkiewicz została zwolniona z więzienia w Lublinie 15 III 1947 r.

„Czy bracia żyją? Gdzie się najpierw udać? Gdzie szukać? U kogo jest moja mama i Józio?”. Przychodzi naczelnik, zabiera mnie do biura, daje mi kartę zwolnienia i kartę na przejazd pociągiem: „Gdzie – mówię o tak – ja nie mam domu, no tak, nie mam domu, zabrali, a nas do łagru”. Ale mówię: „Niech będzie, że pojedę do Włodawy”. Papiery włożyłam do kieszeni, a naczelnik mówi: „Oddziałowy zaprowadzi was, bo tam UNRRA^{ai} ma dla więźniów ciuchy”. Poszłam, starsza pani ze mną. Zagadła, za co ja siedzę. Powiedziałam: „Bo jestem siostrą »Jastrzębia« i »Żelaznego«”. Wzięła mnie za rękę i pyta: „A gdzie teraz ty jedziesz?”. Ja mówię: „Ja nie mam domu. Mam wujenkę we Włodawie i chyba tam pojedę”. A ona mówi: „A może my ciebie damy do siostr zakonnych?”. Zaczęła mi szukać ciuchów: „Zdejmij twój płaszcz, bo aż czarny z brudu. Ubieraj [się]”. Ubrałam [się] w ładny czarny płaszczyk ceglasty, szaliczek brązowy, dwie sukienki, dwie spódnice, trzy bluzki, sweter, pantofle. Zapakowała to w torbę, ten mój brudny płaszcz i ciuchy. Byłam ubrana. Dziękowałam paniom z Czerwonego Krzyża. Wypuszczają nas grupowo za bramę więzienia. Zobaczyłam panią Popielewiczową z Korolówki, przyniosła paczkę dla syna Józefa, bo siedzi na Zamku. Pytam: „Czy moi bracia żyją?”. Mówi: „Leon nie żyje!”. Patrzę, stoi gazik, a w nim siedzi kierowca i Wiktor Sawicz. Wystraszyłam się, że może znowuż po mnie na UB (zaznaczam, że były przypadki, że zwalniano na Zamku, a UB czekało pod bramą i ponownie aresztowali). Jasia Suchorab z Lipniaka też wyszła, przywitałam się z nią i poszłam razem z nimi, z myślą, że razem pojedziemy do Parczewa, a ja pójdę potem sobie pieszo do Stępkowa do p[ana] Stefana Kaznowskiego i dowiem się coś o rodzinie.

[...] Przyjechałam do Parczewa. Przyszłam do p[ani] Sabinki Zielińskiej, u nich przenocowałam, rano poszłam do Stępkowa. Od Kaznowskiej wiele się dowiedziałam o różnych sprawach. Pojechaliśmy wozem do Białki do pana Kosińskiego ps. „Czarny”. On dowodził dużym oddziałem partyzanckim AK w czasie okupacji niemieckiej. Był w Białce. Leżał, miał postrzał w nogę. Powiedział nam: „Idźcie na Libiszów, tam spotkasz »Żelaznego«”. Pojechaliśmy kawałek, a oddział szedł w naszym kierunku. Przywitałam się, pytam: „Gdzie Leon pochowany?”. – Mówi: „W Siemieniu, pochował go »Kłos« z Obwodu Radzyń [Podlaski]. Ja musiałem się wycofać w swój teren”. Mówię: „Edziu, teraz amnestia, czy ty się ujawnisz z chłopcami?”. A on mi powiedział: „Ja im nie wierzę. To jest najwyższy szczyt faszyzmu”. Dał mi pieniądze na drogę, powiedział, gdzie są rodzice – u p[aiństwa] Ulińskich – Orneta (Olsztyńskie), nadleśnictwo Krosno. Pożegnałam się, popatrzyłam na tych młodych ludzi i w duchu jakbym przeczuła, to już nie ten oddział, to tak wygląda, jak rozbite wojska polskie w [19]39 r., to już upadek, to klęska, to stalinowskie jarzmo Polski. Sprzedana przez dwa wielkie mocarstwa w Jałcie. Polska deptana butami żołdaków odradzała się jak wgnieciony w ziemię wrzos, ile jeszcze lat, ile jeszcze ofiar pochłonie ten „okropny czas”? Wieczorem pan Kaznowski odwiózł mnie na dworzec, pojechałam do Ornety.

[...] Kiedy przyszłam, to moi rodzice tak się cieszyli, oboje płakali, a Józio nie odstępował mnie. Ponieważ ja musiałam się zameldować na moje nazwisko, więc mówiono, a to jest tej Turskiej panięskie dziecko, a ze starym to ma tylko tego chłopczyka. Dom, gdzie mieszkali rodzice, był na dwie rodziny, być może kiedyś mieszkał jeden gospodarz – Niemiec. Dopiero opowiedzieli mi, jak ojca

^{ai} W *tekście* Unra.

wydostali z majątku Lubraniec koło Włocławka. Do PGR Lubraniec przyjechał Henio Wybranowski z dokumentem na nazwisko Władysław Turski, wysiedleńca z Kresów, ale dla pana kierownika PGR przedstawił, że bierze p[ana] Taraszkiewiczza na przesłuchanie do UB. Pokazał pismo na maszynie wypisane, pieczętka z UB, wszystko formalne. W pociągu mówi: „Teraz pan nazywa się tak i tak, ur[odzony]..., tak samo z Wołynia, miejscowość...”. Szczęśliwie przyjechali, teraz Heniek ich ma odwieźć na zachód, są u p[anstwa] Szczepanowskich w Woli Wereszczyńskiej, wspólna Wigilia u p[anstwa] Zielińskich na kolonii Wola Wereszczyńska, Adela przygotowała Wigilię; ryby dał p[an] Madej czy Mantej z Dominiczyna. Przyszedł do nich Konieczny (do Zielińskich). Leon dał mu sporo ryb, mówi: „Masz zanieść żonie, niech smaży”. Zaniósł ryby Konieczny do domu, ale pojechał do Urszulina i powiadomił MO, że „Jastrząb” ma Wigilię ze swoimi ludźmi w Woli Wereszczyńskiej. Jest Wigilia, ale Leon mówi: „Mamo, coś mnie niepokoi, bierz Józia i ojca i niech was Heniek prowadzi do Szczepanowskiej dziadka”. Po prostu ich wypchał. Kiedy już wchodzili do zagajnika, [usłyszeli] strzały, rakiety u Zielińskich. Heniek mówi: „To ich zaatakowali!”. Pośpieszyli się, aby dojść szczęśliwie. We wsi było cicho. Rano Leszek z Lutkiem poszli na kolonię dowiedzieć się, co jest, że tak strzelano, i kto się spalił? Oczywiście spaliło się całe gospodarstwo p[anstwa] Zielińskich, a zabity został „Ryś” i „Słoń”. Chłopcy się wycofali. UB swoich ludzi zabitych zabrał na samochody nad ranem, tych dwóch kazali później zakopać na podwórku. Konieczny już się nie pokazywał na kolonii, pracował w Lublinie, był jawnym szpiclem (dopilnowali go ludzie podziemia i zlikwidowali). Moich rodziców dziadek Leszek Szczepanowski (ojca) zaprowadził sam do Zielińskich na Załucze Stare, a Henio Wybranowski mamę i Józia sam prowadził. Rano p[ani] Zielińska zawiozła ich na stację kolejową Trawniki i odjechali do Ornety – Krosno Nadleśnictwo.

[...] Ostatniego grudnia z moją mamą zaprosiliśmy ciotkę i wujka Frania Otta na kawę. Mój ojciec był w pracy, kończył się przecież rok 1950. Na zabawę nigdzie nie wybierałam się z Franiem. Po miłej atmosferze, po kieliszku ajerkoniaku, dobrej kolacyjce ciocia i wujek Nakielscy poszli do domu. Franio jeszcze został, aby ze mną omówić swoje sprawy dotyczące nas obojga. Powiedział mi otwarcie, że chce się ze mną ożenić, bo jego sytuacja jest taka, że ojciec ma już drugą żonę, ma z nią troje dzieci (ich matka zmarła, jak były małymi dziećmi), wyraziłam zgodę. Jest godzina 22⁰⁰, pukanie do drzwi, moja mama otwiera – dla nas to nie nowość – panowie objaśniają, że Urząd Bezpieczeństwa Publicznego z nakazem aresztowania do wyjaśnienia. My znamy te wyjaśnienia, one trwają zbyt długo. Pierwszego legitymują Frania: „O! Pracownik aparatu politycznego z Nowego Dworu Gdańskiego”. Zabierają mamę, mnie i Franusia. Mama ubiera Józia, ubek mówi: „On zostaje w domu!”. Moja mama mówi do ubeka: „Ja was już, panowie, znam, już żeście mnie dziadem zrobili, a teraz mam dzieciaka nieletniego zostawić. O nie! Pójdzie ze mną, w obozach zagłady też trzymaliście dzieci”. Ale ubek pochodził z gdańskiej placówki. Podszedł do mamy i mówi: „Mąż nie będzie aresztowany, niech chłopiec zostanie w domu”. Mama się zgodziła. Wyprowadzili nas na dwór. Patrzą, a tu cała obstawa. Ja z majorem z MBP z Warszawy (Żydem) osobno w taksówce, czarna „Wołga”. Mama do drugiej, Franuś do trzeciej, a obstawa w nami. Okazało się, że aresztowano z Technikum Rolniczego syna p[ana] Falbina za to, że wydlubał oczy Stalinowi na gazetce

ściennej w szkole; a od razu opinia – ojciec policjant przedwojenny na Kresach, matka powracała z sowieckiego łagru przez Indie. Anders uratował.

Franusia zostawiają w Malborku, w placówce UB, mama do Gdańska do UB, mnie do Gdańska. Zostawili [mnie] z jakimś pacankiem, by mnie pilnował, sami panowie poszli na bale, bo tuż, tuż jest Nowy Rok 1951. Poprosiłam, że chcę wyjść do ubikacji. Pozwolił. Zniszczyłam, jakie miałam adresy, obojętnie jakich ludzi, bo wiem, że by ich szarpali zupełnie niesłusznie. Po powrocie byłam już spokojna, że nikt nie będzie ciągnany przez UB. Rano zawołano mnie do innego pokoju. Ubek, który kazał Józia zostawić w domu, przyniósł mi herbatę i kanapkę, chyba swoją, i mówi mi: „Panią zabiorą do Warszawy, a mama zostanie w Gdańsku do wyjaśnienia, ale ją puszcza, tylko będą mieli sprawę za lewe dowody”. Gdzieś około godziny zjawia się cały na czarno ubrany w kapeluszu jak kowboj p[an] major i mówi: „Pani pozwoli ze mną”. Poszłam razem z nim. Na ulicy stoi gazik wojskowy, w nim siedzą starszyny wysocy rangą, kierowca też ruski. Przed nami gazik z Ruskimi, za nami też, a p[an] major siadł do czarnej „Wołgi”, jedziemy w kierunku Wrzeszcza. Podjeżdżamy pod jakiś biały blok. Major zabiera mnie do swego samochodu, starszyny weszli do białego bloku. Ja siedzę w czarnej „Woldze”, a major spaceruje przed „Wołgą”, kręci się. Trzech żołnierzy w mundurach lotniczych, zaczynają mnie podrywać, major każe im odejść i ponownie spaceruje. Ja pokazałam chłopakom (zwinęłam pięść i pod brodę), za chwilę patrzą, majora przygnietli do auta i mówią: „Co, poderwałeś młodą dziewczynę” – i mówią: „Wychodź, dziewczyno”. Zaczynają się szarpać z majorkiem, ciskają o auto, ten się broni, mówi: „Jestem majorem z UB z Warszawy, ta dziewczyna jest aresztowana”. Wtedy żołnierze odeszli, przyszedł jakiś ubek w cywilu, ubrany, ale ciuchy na nim były łachmaniaste, niechlujne, może celowo tak był ubrany. Poszliśmy w kierunku hangarów, to było we Wrzeszczu na lotnisku (obecnie lotnisko jest w Rębiechowie). Wyprowadzono samolot, kręcą się starszyny, pomyślałam: „Na Boga, czy mnie do Rosji wywiozą”. Polski pilot przykołował samolot na pas startowy. Myśmy podeszli. Starszyna każe pilotowi wysiąść, ten pokazuje jakieś pismo, ten machnął ręką, że ma wysiadać, pilot wyszedł, patrzył na mnie, ja złożyłam ręce na krzyż, on to zrozumiał, powiedział mi: „Szczęśliwej podróży życzę pani”. Odpowiedziałam: „Dziękuję”. Weszłam do samolotu, starszyna z tyłu, starszyna po jednej stronie, po drugiej major. Przy sterze siedzi wysoki rangą starszyna – pilot. Zakręcił kołem nad lotniskiem, myślę: „Jak mnie tu znudzi”. Ale nie, nie znudziło, to nerwy odgrywały rolę. Wszystko trzeba było znieść. Pytam się: „Tawariszcz starszyna, kuda ujeżdżajem?”. A ten mi opowiada: „Do Moskwy”. Odpowiadam: „To charaszo”. A major złośliwie dodaje: „Do Londynu”. Ja znów odpowiadam: „Panie majorze, pan to najchętniej by mnie i tę całą starszynę to by wywiózł do Londynu, tylko że dziś takie osoby jak pan są im niepotrzebne, świat się zmienia i ludzie”. Samolot ląduje na Okęciu w Warszawie. Wsiadamy, już na nas czekają. Znów obstawa z przodu, z tyłu. Wchodzimy na teren MB[P], idziemy w kierunku windy, wsiada razem z nami sprzątaczką, trzyma w ręku suchy chleb i je: „Źle pani zarabia, że je pani suchy chleb, a tak miało być dobrze w socjalizmie”. Kobieta milczy, major też. Weszliśmy do pokoju, było bardzo ciepło, zdjęłam moją jesionkę, beret, szaliczek, torbę z ramienia, położyłam to na krześle obok. Major wyjął z szuflady papiery i zaczął spisywać formalności: imię, nazwisko, lat itd. Do pokoju wszedł bardzo elegancko ubrany młody mężczyzna,

ondulacja na głowie, paznokcie polakierowane – prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam mężczyzny z lakierowanymi paznokciami. Witając się z majorem, powiedział żartobliwie: „Skąd przywiozłeś taką ładną panienkę?”. Ten się uśmiechnął i napisał na kartce to, co ja się domyślałam. Laluś przeczytał i mówi: „Widzi pani, jacy tu u nas są przystojni mężczyźni, a tam u was w podziemiu to nieludzkie warunki, tylko propaganda siana przez Andersa”. [Odpowiedziałam]: „Pozwoli pan, że panu odpowiem. Znałam młodych ludzi z 27. Dywizji Piechoty, oni nie nosili ondulacji ani paznokci lakierowanych. W czasie okupacji niemieckiej walczyli, a pan synek mamusi za piecem, za zasłonką przesiedział?”. – Dodałam: „Być może, że historia się kiedyś upomni o tych, co walczyli o Polskę, a osądzi tych, co sprzedawali Polaków”. Major się odezwał: „Kogo pani ma w tej chwili na myśli?”. Z miejsca odpaliłam: „Byłych konfidentów niemieckich, którzy dziś u was siedzą za biurkiem”. Major znów swoje: „Proszę pani, my pracując w urzędzie MB[P], wszyscy piszemy życiorysy”. Ponownie zagadałam: „Panie majorze, jadąc dziś samolotem, odniosłam wrażenie, że ja jestem zatrzymana, a pan jest w śledztwie. Dlatego to spostrzegłam, kiedy kazano polskiemu pilotowi opuścić kabinę samolotu. Panie majorze, odnoszę wrażenie, że nie jest pan krótkowzroczny i źle myślący”. Major kazał opuścić pokój, zadzwonił po innego pracownika, a sam szykował się do wyjścia. Przybył nowy pracownik, major się pożegnał z kolegą i poszedł. Na biurku leżało napisane, o co mnie pytać itd. Jest późna godzina, do ubikacji wyszłam, a tam syf, brud. Umyłam twarz, ręce, złożyłam ręcznik ponownie do torby. Nowy śledczy mówi: „Ja drugą noc nie śpię, ty chyba też. Idź do tamtego pokoju, walnij się i śpij, a ja tutaj zsunę dwa fotele i się prześpię. Rano będziemy pisać. Faktycznie rano zadawał pytania, zorientowałam się, że p[ani] Kazia⁴² zdała p[anu] majorowi odpowiednie relacje, bo wymienił nazwisko Stefan Kaznowski. Co kupowałam? Wymieniłam książki rosyjskich autorów, papier do pisania na maszynie, kalka, tusz do pieczętek, buty gumofilce, zeszyty, lekarstwa, opatrunki. „Czy miałaś wszystko wymienione na kartce? Czyj był charakter pisma, »Żelaznego«?” Mówi śledczy: „Sprawdziliśmy, że wysyłałaś paczkę (data) do Kaznowskiego. Co wysyłałaś? Czapki wojskowe i wojskowe koszule”. Zostawił mnie śledczy i poszedł do domu. Zjawia się nowa postać śledczego i z mety do mnie mówi: „Nie myśl, panno, że będziemy się z tobą cackać. Poznasz, co to jest UB. Ty musisz mówić, co żądamy!”. Ja do niego grzecznie: „Proszę pana, musi, to pan wie gdzie, u nas w Polsce na razie nie musi, a gestapo to już wcześniej poznałam, jak szkolili mego brata i w nocy świecili baterijką w oczy, a UB i łagier to już poznałam w 1944 r., 18 grudnia. Niech pan przynajmniej będzie na tyle taktowny i uprzejmy i powie majorowi, że ja tu w Warszawie jestem zbyteczna”.

Faktycznie w nocy władowali mnie do samochodu jak małpę cyrkową, szyby zasłonięte, tylko od szyb kierowcy widzę napisy mijających miast, osiedli. Orientuję się, że jadę w kierunku Lublina. W Lublinie oddziałowy z wartowni na Krakowskim Przedmieściu zaprowadził mnie poprzednio znanym korytarzem, ale umieścił mnie w „skarbcu”. Tak, tak, bo jak w [19]46 r. pani Maria Dąbrowska opowiadała, też była więźniarką i jej siostra Janina, że przed wojną, tu gdzie jest UB, były biura państwowe, był skarbiec. W „skarbcu” było łóżko drewniane, koc, siennik wilgotny, prześcieradło, „poduszka jasiek” ze słomy, puszka do siusiania, było tak nisko,

⁴² Kazimiera Hołobołowicz, znajoma Rozalii Taraszkiewicz, kiedy ta mieszkała w Mirowie na Warmii.

że jak podniosłam rękę, to dotykałam sufitu. Mała żarówka, jedno krzesło i stare rozklekotane biurko, drzwi, jedna krata, jedna gruba płyta grubości $\frac{3}{4}$ cen[tymetra] i następna krata. Żadnego okna, drzwi zamykane specjalnym zamkiem. Nie wiedziałam, czy to już ranek, czy dzień. Zorientowałam się po stukaniu drzwi, że jest to szósta rano. Zmiana i wypuszczanie więźniów do ubikacji. Słychać tylko męskie głosy, to znaczy, że po tej części piwnic nie ma kobiet. Rano otrzymuję śniadanie, niewięzienne. Myślę: „O, to coś jest celowo robione”. Wypuścił mnie żołnierz do ubikacji, pod karabinem. Umyłam twarz. Siedzę przy biurku, leżą gazety, ale żarówka mała, prawie półmrok, a biurko oddalone. Nagle otwierają się drzwi, wchodzi wysoki mężczyzna, przedstawia mi się, że jest szefem lubelskiego UB⁴³. Dałam mu krzesło, by usiadł. Ja usiadłam na skraju łóżka. Rozmawiamy na różne tematy. Mówi mi: „Gdyby pani zgłosiła do policji, gdzie p[ani] wysłała paczkę z zawartością dla »Żelaznego«, to byśmy go ujęli – mówi mi. – Pani wie dobrze, czy wcześniej, czy później my go ujmujemy albo sam się zastrzeli. Najlepiej by było, gdyby pani podała miejsce jego pobytu”. Mówię do niego: „Proszę pana, ja nie żyję w lesie, a mój brat po pięciu latach wracał do kraju i co zastał? Co wyście zrobili z mojej rodziny? To pan dokładnie wie, tylko tyle, że wy panowie dziś przekreśliście prawdę”. Mówi do mnie szef: „Pani o tym nie wie, ale p[an] Kaznowski podpisał z nami współpracę, jeszcze trochę i »Żelazny« da się złapać na haczyk”.

W skarbcu siedzi siostra „Jastrzębia” i „Żelaznego”, nie wiem, jaki jest cel dalszego losu. Wieczorem otwierają się drzwi, wchodzi szef, trzyma w ręku mój gryps i mówi: „P[ani] nam nie ufa”. A ja odpowiadam: „Czy więzień ma prawo ufać władzy? Ja nie jestem »asem«, żebyście mnie trzymali w skarbcu”. W nocy, dość późno musiało być, otwierają się drzwi, każą mi zabierać się. Wychodzimy, na korytarzu koło drzwi mówię głośno: „Ale wartościowa jest siostra »Jastrzębia« i »Żelaznego«, że trzymaliście ją w skarbcu”. Wartownik krzyknął: „Cicho!”. Przywieźli mnie na ulicę Szopena 18 do UB. Zaprowadzili na trzecie piętro, do domu w podwórku. Wsadzili znów samą do łazienki. Był tam stół, siennik, przesćieradło, poduszka ze słomy, koc, jedno krzesło, zlew przedpotopowy, „żelężniak” – piec kaflowy, drzwiczki do palenia od korytarza, u góry musiało być okno 100 x 50 [centymetrów] zabite szczelnie deseczkami, pod zlewem spluwaczka. Rano przyszedł wartownik wypuścić mnie do ubikacji. Leżał kawałek mydła i czteroczęściowy ręcznik. Wzięłam, wymyłam w łazience posadzkę, pościeliłam w kant posłanie, wyprałam pod zlewem chustkę, umyłam się mydłem, ręcznik zawiesiłam przez krzesło, chustkę na nim, jesionkę złożyłam w kostkę, na to torbę, beret i szaliczek wełniany. Odźwierny przyniósł kawę, kawałek chleba.

Tak jak mogłam się zorientować, to gdzieś [o] 9–10 god[zinie] otworzył drzwi starszy pan w płaszczu skórzanym na ramionach; brunet szpakowaty, średniego wzrostu. Wszedł. Ja wstałam z krzesła. Podał mi rękę. Powiedziałam: „Proszę, pan siądzie na krześle, ja siądę na stole, skoro p[an] ma tak dużo ze mną do pogadania, jak pan na wstępie zapowiedział”. Zagadał, że nie myślał, że kiedyś przyjdzie mu spotkać siostrę „Łońki”: „Wie pani, pani brat w czasie okupacji uratował mi życie. Byliśmy pod Białką otoczeni przez Niemców, a oddział »Anatola« przyszedł nam z pomocą. Ja nie miałem już czym się bronić, a p[ani] brat mnie uratował!”. A ja do niego mówię: „Tylko dziś nie może p[an] się do tego przyznawać, bo zrobią pana, że pan

⁴³ W tym czasie szefem WUBP w Lublinie był mjr/ppłk Mikołaj Krupski.

współpracuje z bandą, no wolno »Lońkę« chwalić? Przecież wy, panowie, mówicie, że mój brat był celowo do lasu wysłany, wy mówicie: »My wiemy, że twoja matka wy dostała pięć osób z Majdanka, ale musiała mieć znajomości«. Jeszcze jedno panu powiem: moja matka poszła po ojca, jak Niemcy wkroczyli, bo zabrali go do klubu oficerskiego wraz z 23 mężczyznami, i moja matka powiedziała, że to są mieszczanie, a nie wojskowi. Ona za nich gwarantowała i ojca, i tych mężczyzn puszczone. Czy pan by się czegoś podobnego podjął? Chyba nie?». Mówi mi: „Proszę panią, tacy ludzie jak p[ani] bracia są potrzebni”. – „Wierzę panu, tylko że wy tych ludzi do lasu wgonili[ście]”. Odpowiedział mi: „I my robiliśmy błędy”. Odszedł, zamykając drzwi. Wieczorem przyszedł po mnie p[an] „Janek”, tak go nazywali śledczy. Zaprowadził mnie do pokoju szefa operatywy woj[ewództwa] lubelskiego⁴⁴. Po jednej stronie siedział szef, a po drugiej stronie siedział wysoki mężczyzna w polskim mundurze. Kiedy szef zaczął w jego obecności zadawać pytania mnie, ten z akcentem ruskim go poprawiał. Ja im powiedziałam: „Panowie, ja żyłam w mieście, uczyłam się, ja nie byłam w lesie. Wgoniliście do lasu, to teraz wyganiajcie, macie swoich ludzi. Tego nie musicie kryć”. Przy ruskim wojskowym szef był bardzo dociekliwy, to normalne, to się zna, jak panowie musieli wiernie służyć. Mijały tygodnie. Za ścianą łazienki odbywały się śledztwa. Stałam wtedy na stole, ucho do desek przyłożyłam i słucham. Przesłuchuje „cwaniaczek” faceta z Terespoła, pracownika PKP. Pytanie: „Co p[an] sprawdzał, co się wiezie na tereny ZSRR, no i co pisało?” – „Cement, a było zboże”. – „Pan to spisywał? Dla kogo?” – „Nie znam go, poprosił mnie tylko o numer transportu i zawartość”. – Co za to pan otrzymywał?” – „Parę dolarów”. – Pytanie: „W czasie okupacji niemieckiej gdzie byłeś w partyzantce i co, k..., gruszki trzęślesz?” – „Nie, Niemców biłem!” – „A ty wiesz, skurwysynu, że Niemcy to nasze przyjaciele”. Jest cisza, więzień nie odpowiada.

Któregoś dnia znów zjawił się szef. Znów leje wodę na młyn: „Wie pani, społeczeństwo nazywa nas »polskie gestapo«, ale tak przecież nie jest”. Wychodząc z łazienki, odwrócił się i mówi: „Gdyby pani sobie coś przypomniała, to proszę do mnie się zgłosić”. Pan „Janek” przynosi mi po cichu gazety, czytam, a potem chowam pod siennik. Najgorsze, jak są śledztwa za zabitym deskami oknem, obróbki bolesne, krzyki, jęki: „Boże ratuj, to katy”. „Heil Hitler”^{aj}. „Gestapo”. „Wy nie Polacy, zdrajcy!” itd. Wezwał mnie na śledztwo nie p[an] „Janek”, ale jakiś inny rzeczoznawca. Na wstępie naszej rozmowy zapytał mnie: „Czy pani jest wierząca?”. Poniosły mnie nerwy. Spytałam: „Czy to, że ja jestem wierząca czy niewierząca, potrzebne panu do śledztwa?”. Mówi: „O nie, nie!”. – „A teraz ja panu zadam pytanie: Od kiedy pan przestał być wierzącym, bo u pana rodziców w Lejnie są pełne ściany obrazów ze świętymi. Czyżby pan się tego wstydził?” – „Skąd pani wie?” – „Bo moi bracia byli u p[ana] rodziców, p[an] Pietrykowski^{ak45}. Czy tak?” Cisza.

^{aj} W *tekście* Hajhitla.

^{ak} *Tu i dalej w tekście* Pietrzakoski.

⁴⁴ Być może chodzi o naczelnika Wydziału III WUBP w Lublinie mjr./ppłk. Jana Wołkowa.

⁴⁵ Chodzi o Stefana Pietrykowskiego, ur. 1925 r. w Wirykach, pow. Włodawa, chor. UB, narodowość ukraińska, wykształcenie dwie klasy gimnazjum. W UB od 17 IV 1945 r., początkowo jako wartownik w PUBP we Włodawie, następnie od 1 VIII 1945 r. młodszy referent Sekcji Miejskiej Kontrwywiadu, w 1946 r. ukończył kurs śledczy w Centrum Szkolenia MBP. Od 1 X 1947 r. był starszym referentem Referatu I PUBP we Włodawie. 25 XII 1947 r. przeniesiony do dyspozycji szefa WUBP w Olsztynie (AIPN Lu, 0357/2824, Karta ewidencyjna Stefana Pietrykowskiego).

Mimo woli otarło się o uszy coś takiego o p[anu] Pietrykowskim z Lejna; w tym czasie, jak siedziałam (1946 r.) z Jasią Suchorab, bo oni mieli rodzinę w Lejnie i zwrócili się do rodziców ubeka, by pomógł w staraniu o córkę. Ten stanowczo odmówił.

Któregoś dnia wieczorem odźwierny przyniósł kolację i wysłał do ubikacji. Wychodzę z ubikacji i w drzwiach do łazienki stoi śledczy, z pokoju za łazienką, i mówi do odźwiernego: „Ja bym ją odpowiednio przetestował”. – A ja mu z grubej rury: „Takie jak pan, co z gruszki trzęsą i Niemcy to pana przyjaciele, to tylko pan się nadaje do przetestowania, tam za Krakowską Bramą. To dla pana pasuje”. Ten nie wiedział, jak zareagować, a ja mówię: „Zejdź p[an] od drzwi!”. Weszłam. Zamknięto drzwi, a ten ze złości zaczął kopać w drzwi. „Lalunia pier[dolona], takich jak ty to ja mam setki!” Za parę dni przyszedł p[an] „Janek” po mnie, bo znów jakiś obywatel z UB chce ze mną rozmawiać. Jest to szef tej placówki na ulicy Szopena w Lublinie. Kiedy p[an] „Janek” mnie prowadził przez jeden pokój, całe plecy biurka były opryskane krwią, obok stała miska nieduża, też popryskana krwią, a w środku leżał aparacik do wciskania pod paznokcie, na prąd, taki jak Leon opowiadał, [jak] go w Radomiu mordowali w gestapo, niesamowity ból. Pomyślałam: „Faszyzm odszedł czarny, przyszedł czerwony”. Szef zaczął łąć wodę patriotycznie, a ja mu mówię: „Niemcy pięciokrotnie mego ojca zatrzymywali, matka się martwiła, ale zawsze go wyratowała, ojciec zawsze mówił: »Nie martw się, matka. Niedługo przyjdą nasze«. Ano przyszły i zrobiły nas dziadami. Mało tego, wrogami klasowymi i Bóg wie kim jeszcze. Gdyby mnie dziś własny ojciec coś gloryfikował o komunizmie, nie wierzę i nigdy nie uwierzę, bo jedno panu powiem: gestapo włodawskie miało nas wywieźć na Majdanek przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Zdążyliśmy uciec do Żukowa, do p[ana] Zaromka. I teraz jest jasne dobitnie. Kogo nie wykończył Hitler, to wykańczacie wy, panowie. Dlatego ja nigdy nie uwierzę w komunizm, choćbym miała to przypłacić swoim życiem”. Kazał mnie z powrotem prowadzić do łazienki. Na dworze jest upał, w łazience brak powietrza, duszno. Na korytarzu zamykają drzwi na schody. Jest w nocy śledztwo w pokoju za łazienką. Przesłuchuje kilku ubeków studenta z [Katolickiego] Uniwersytetu Lubelskiego. Ja stoję na stole, ucho do desek (nie mam czym wydłubać szparki). Jest hurgot w pokoju. Krzyk. Przewracają się krzesła, słychać razy, jednak po drugim – nagle krzyk: „O cholera! Gnojek wyskoczył!”. Rano przyszła sprzątaczką sprzątać, ja zapytałam jej, mówię: „Co się stało?” – A ona mi mówi: „Student z KUL wyskoczył oknem i się zabił. Oni go tłukli, bo chcieli, by powiedział, że rektor tworzy nielegalną organizację, on mówił »To nieprawda«”. Na drugi dzień rano mówię odźwiernemu, żeby powiedział szefowi (powiedziałam jakiemu), że chcę z nim rozmawiać. A on do niego mówi: „Co, zobaczyła słoneczko, że chce ze mną rozmawiać?”. Ten pacan mi to powtórzył. W łazience duszno, brak powietrza, na dworze upał. Rozkręcam kran, leje się woda, kładę się na posadzkę, usta przytykam do szpary drzwi. Chwilami myślę, że chcą mnie wykończyć. Przychodzi „Janek”, woła mnie na pewne formalności, sam ze mną rozmawia (ale idąc na przesłuchanie, spojrzałam w lewo, [na podwórku] coś było nakryte arkuszami szarego papieru, a obok stał mały ciągnik z trochę usypanymi śmieciami). Nikogo przy tym nie było. Pomyślałam, że zwłoki studenta wywiozą na śmietnik, a w domu będą bojcy robić rewizję, zrywać podłogę, rozwalać piec, wywalać

rzeczy z szafy i grozić: „Proszę zgłosić, jak syn się zjawi, bo uciekł do kanału, to albo się utopi, albo go szczury zjedzą, ale ostrzegamy”.

[...] Był to taki okres, że przerzucano pracowników UB w inne placówki⁴⁶. Z Gdańska przerzucono oficera śledczego, Zygmunta Borowskiego, i o dziwo, [pojawił się] śledczy z MB[P] z Warszawy, pan Oleksy. Wobec mnie nie był wrogo nastawiony. Przyniósł mi „Misio” (oddziałowy) do celi papier biały – brystol, linijkę, ołówek, gumkę, nożyczki, nóż duży, żeby wypisać hasła (podane jakie), mają być naklejone potem na materiał. Porobiłam – przy okazji wycięłam kawałek z jednego koca i uszyłam sobie kaptcie, nici dał i igłę „Misio” – przy okazji – przeniosłam sienniki do drugiego przedziału, a wymyłam i wyszorowałam (drapałam nożem) prycze do białości. Kawalki gazetki, szarego papieru pocięłam, pokładłam na pokrywkę kibla, wymyłam posadzkę. Przyszedł „Misio” i mówi: „Rozanna (śpiewałam piosenkę *Rozanna* z siedmioma księżycami z filmu), zbieraj [się]”. Był dokoła koszuli obładowany jabłkami, skąd nakradł, nie wiem. Zamełinowałam jabłka w sienniku, po drugiej stronie pryczy. Zaczął przychodzić do piwnicy sierżancina, kazał „Misiowi” otworzyć drzwi do celi i kazał mi się meldować: „Obywatelu szefie, więźniarka taka a taka melduje stan osobowy: jedna”. Mówię do niego po zameldowaniu: „Proszę pana, ja jeszcze nie jestem po wyroku, a druga sprawa, jak tu u was w UB jest? U góry szef UB, odźwierny też szef, czyli że wszyscy chorują na manię wyższości, a gdzie jest ten świat pracy zwykły, robotniczy?”. Nie podobało mu się i powiedział mi: „Wiele jeszcze się nauczysz”. I tak mnie coraz podćwiczał, aż zjawił się Zygmunt Borowski. Poznał mnie, on był kiedyś w Malborku, znał Stasia⁴⁷ ubeka. Bardzo dobrze się o Stasiu wyrażałam i słusznie, on również. Mówię do niego, że taki tu przychodzi sierżancina i mnie ćwicz, każe się nazywać szefem. Pytam: „Ilu tu właściwie jest szefów?”. Musiał go opierniczyć i już więcej mnie się nie czepiał. Pytam Borowskiego: „Dlaczego p[an] jest we Włodawie?” A on mówi: „To w związku z procesem Kirchmayera⁴⁸”

⁴¹ W *tekście* Kirchmajer.

⁴⁶ Dla rozpracowania i zlikwidowania grupy Edwarda Taraszkiewicza „Żelaznego” 30 V 1951 r. dyrektor departamentu III MBP, płk Józef Czaplicki, powołał Grupę Operacyjną „Włodawa”. Jej kierownictwo objął wicedyrektor Departamentu III, płk Stanisław Wolański. W jej skład weszli: starszy inspektor Departamentu Śledczego mjr Szymański, naczelnik Wydziału III WUBP w Lublinie, mjr Jan Wołkow, oraz kierownik sekcji Departamentu III, por. Chmielewski. Ponadto szefowie WUBP z Poznania, Bydgoszczy, Łodzi, Wrocławia i Krakowa wydelegowali do pomocy wspomnianej grupie po dwóch pracowników z wydziałów: I, III, IV i V (w wielu wypadkach byli to funkcjonariusze, którzy wcześniej pełnili służbę na Lubelszczyźnie). Dyrektor Departamentu Śledczego MBP przekazał dodatkowo 20 oficerów śledczych. Na terenie powiatu włodawskiego utworzono osiem grup operacyjnych po ośmiu funkcjonariuszy każda, które ulokowano we wszystkich gminnych posterunkach MO. Dla wzmocnienia GO „Włodawa” przydzielono trzy bataliony KBW w sile około tysiąca żołnierzy. Ponadto, co było ewenementem w skali kraju, w celu zabezpieczenia się przed ewentualnymi przeciekami z dniem 22 VI 1951 r. przeniesiono wszystkich pracowników operacyjnych i gospodarczych PUBP we Włodawie na inny teren. Na ich miejsce skierowano absolwentów rocznej szkoły MBP. Szefem urzędu został starszy referent Departamentu III MBP, por. Tadeusz Odrobina, a zastępcą były zastępca szefa PUBP w Lublinie, por. Tadeusz Karczmarzyk (J. Kopiński, *Rozpracowywanie...*, s. 174–175).

⁴⁷ Stanisław Skrzypek.

⁴⁸ Jerzy Kirchmayer (1895–1959), historyk, generał WP. W czasie okupacji żołnierz AK, współautor planu akcji „Burza”. Po wojnie służył w WP. W 1948 r. usunięty z WP, w 1950 r. aresztowany, a w 1951 r. skazany w procesie pokazowym za dążenie do obalenia władzy PZPR na karę dożywotniego więzienia. Zwolniony w październiku 1955 r., a w 1956 r. zrehabilitowany.

w Warszawie, ale ja tu nie chcę wcale być we Włodawie, to miasto dla emerytów i rencistów. Mam ściagać twego brata. Wiesz, Taraskiewiczówna, rozmawiałem z waszymi sąsiadami i wieloma osobnikami, nikt o was nie mówi źle. Jak to się stało z wami?” Powiedziałam mu: „To zrobiła klika Pajęczkowskiego. Dużo bym musiała panu opowiadać, ale wtedy, jak będzie miał pan czas”. „Misio” zaczął śpiewać „Pod Twą obronę, ojciec na niebie”, a za chwilę zaczął śpiewać „Wyklęty powstań ludu ziemi”. Często go szef łątał. „Misio” był w porządku, dał pastę do butów, wypastowałam sobie pantofelki, wyglancowałam, i któregoś dnia otwierają się drzwi, szef operatywy z Lublina uśmiechnął się do mnie, ja do niego. Zagadał: „Zeszczuplała pani”. Powiedziałam: „Pan siada na pryczy, tu nie ma »błyskotów«, stąd tak wyszorowana ta prycza”. Postawiłam moje wybliszczone pantofelki na posadzce, sama zesłam w kapciach z pryczy. Zadałam mu pytanie, bo przecież ja pisałam do niego: „Panie szefie, czy ma pan do mnie żal, że pisałam do pana?” Odpowiedział: „Nie. Żal mi jest pani. Na moim sumieniu mam dług wdzięczności Leonowi za uratowanie mi życia, ale dla pani mam złą nowinę. Ma pani być sądzona we wsi Wola Wereszczyńska. Och! Gdyby pani wiedziała, co panią czeka!” – „Co może mnie czekać? Ja się orientuję, [że] za »Żelaznego« ja mam zginąć, tak panie szefie? Tak zadecydowały bożyszczą władzy?” Odpowiedział: „Tak! A dlatego, że »Żelazny« robi się niebezpieczny, wydaje legitymacje podziemia, nie wiemy, kto z Warszawy nim kieruje, gdzie i z kim ma kontakty? Jesteśmy na jego tropie, nawet już znamy jego chód, prawą nogą lekko pociąga. Dla pani byłoby lepiej, żeby on zginął, bo »Żelazny« długo się nie utrzyma, za dużo jest agentów, czyli naszych ludzi w terenie. Oni go zdradzą za pieniądze, za dobre posady. Nawet te osoby, które już się wcześniej ujawniły, z nami współpracują”. – „Jest pan mądrym człowiekiem, ale i pan jest w niebezpieczeństwie. Przyzna mi pan?” – Powiedział: „W zupełności, dlatego mówię pani w cztery oczy, ja chcę opuścić Polskę i dożyć spokojnej starości”. Mówi do mnie: „W tej celi pachnie jabłkami”. Ja się uśmiechnęłam i mówię: „Bo za oknem jest sad”. Przecież nie mogłam powiedzieć, że mam pełno jabłek w sienniku pod ścianą, ładnie zaścielone. Szef wstał, ja też. Podał mi rękę: „Niech pani nie bierze mi nic za złe, a wczuje się w moje położenie”. Powiedziałam: „Rozumiem! Ciągłe jednak nikomu nie wierzę, to, że mogą mnie sprzątnąć za »Żelaznego«, jest możliwe, ale wtedy z czasem i rodziców, i Józia, mego małego brata”. Rano otwierają się drzwi, stoi Borowski^{am} i mówi: „Taraskiewiczówna, weźmiesz beret, te papiloty z włosów rozwiąż, uczesz się. Masz mieć robione zdjęcie w trzech formatach i odciski palców”. Uszykowałam się, ubrałam [się w] pantofle. Czekam. Przychodzi ubek po mnie. Włożyłam beret przed lustrem, porobił zdjęcia, odciski palców, zaprowadził z powrotem do celi. „Misio” do mnie mówi: „Rozanna, ty jak wyjdiesz na wolność, to przyjdź do mnie, ja mam żonę i małego synka, ona ciebie zna, bo moja żona z Włodawy”.

[...] Borowski przyszedł do celi i mówi: „Lozanna, wyprałabyś mi parę koszul”. Mówię: „Tak, tylko kupi pan proszek do prania, bo ja muszę ręcznie prać”. Przyniósł mydło. „Misio” dał proszek. Wyprałam w łazience, w piwnicy. Powiesiłam na dworze. Wyszło. Zebrałam. Wziął mnie do pokoju, dał koc do prasowania. Prasuję, składam. Przyjechał jakiś ubek z Chełma, przywiózł więźnia

^{am} Tu i dalej w tekście Boroski.

do Włodawy. Borowski żartuje: „To masz wolne, to wal do kina. Bierz Rozannę i idź”. Patrę i śmieję się, Borowski też się śmieje, a ten wziął to na serio i mówi: „To ubieraj się, panienko!”, a Borowski mówi: „Ja też chcę z wami iść do kina”. Mówię: „P[anie] Borowski, niech p[an] nie żartuje!”. Ubek, Rusek czy Ukraińiec, nie daje za wygraną, zaczyna się zachowywać jak dzikus, do Borowskiego [mówi], że sobie z niego drwi, on chce iść z dziewczyną do kina. Wreszcie Borowski mu mówi: „Ona jest aresztowana”. Ten nadal się ciska. Ten mu mówi: „Czy ty nie rozumiesz!”, i wiele by nie brakowało, żeby za ten żart Borowski oberwał. Zadzwoił po p[ana] Kazia, ten zabrał faceta z Chelma i poszli. Następnego dnia wezwał mnie p[an] prokurator na rozmowę, znów podpisałam przedłużony pobyt w areszcie śledczym na trzy miesiące. Mówił Borowski: „Staram się, żebyś dostała artykuł 18 – »wiedział, nie powiedział«, ale nie wiem, czy to się uda. Wiesz, Rozanna, twoja mama jest zwolniona. Trzymali ją w areszcie w Gdańsku”. Nie wiedziałam, wierzyć czy nie, ale dał słowo honoru. Pomyślałam: „Dzięki Bogu, to już sobie jakoś poradzę”. Na zmianę wieczorem przyszedł zalany Henio pyzaty. Nie rozbierałam się, byłam w pantoflach, nie było jeszcze późno. Pyzaty ledwo stał na nogach. Otwiera drzwi i w progu mówi: „Co, kurwa, siostra »Żelaznego«, to inna d[upa]!”. Ja stoję przy ścianie, obok kibel. Zaczął mnie po ścianie popychać, szarpać. Klucze mu upadły na posadzkę, nachylił się po nie. Ja go popchnęłam i w drzwi. Ten uderzył się głową w kibel, ale ja już byłam za drzwiami. Zasunęłam zasuwę; patrę przez „judasza” – leży. Myślę, może nieżywy. Ale wola boska, muszę się bronić przed dzikiem. Usiadłam na biurku i siedzę. Jest po rękach zimno, wzięłam z krzesła jego płaszcz, okryłam się i tak do rana drzemałam. Rozmawiałam z aresztowanymi. Opowiedziałam im, co zaszło. Mówili: „Szkoda, że nie masz kluczy”. O szóstej rano przyszła zmiana. Stukają do drzwi, wreszcie walą. Podeszłam i mówię: „Henio jest zamknięty z kluczami. Podejdźcie do okienka celi, gdzie ja siedzę, to on da wam klucze”. Podeszli, ale ten wstaje. Patrę przez „judasza” – obrzygany, pysk w rzygach. Mówię: „Ty pajacu przepity! Daj klucze”. Podał przez „judasza” (drewniany zasuwany). Otworzyłam. Weszli. Razem z nimi przyszedł Borowski. Kazał mu wymyć rzygi i doprowadzić się do porządku, i zgłosić się do niego na górę. W celi smród bimbru, jabólów. Przepa[rsa]ł mnie, że był pijany. [Mówię:] „Ale ja byłam trzeźwa, i pamiętaj: ja mam chłopaka, który na mnie czeka. Jest wspaniałym człowiekiem, a ja nie jestem łachmanem, że chciałeś mnie poniżyć”. Nie wiem, gdzie go przenieśli, bo więcej go nie widziałam.

Jest z 5 na 6 października [1951 r.]. Śni mi się okropny sen; jak na jawie gonią mnie dzikie świnię, jest w tej wsi ścięte ściernisko. Po zbożu ja [biegnę] na bosaka, ale te ciernie ostre kaleczą moje nogi. Nagle jakiś mężczyzna, niby ojciec, chce zabić moją mamę, a ja krzyczę: „Nie!”, i czuję okropny ból w sercu, a twarz mamy, to nie jest jej, tylko Edwarda. Zaraz wstałam. Słyszę jakiś dziwny ruch na podwórku, jakby było dużo samochodów. Jest we mnie niepokój. Na sukienkę włożyłam bluzę^{an}, zawiązałam wiązanką, uczesałam się, włosy zawiązałam czarną aksamitką do tyłu. Jest pochmurny, szary październikowy dzień. Taki jakiś ciężki, dżdżysty. Serce mi mocno bije. Otwierają się drzwi, wchodzi szef UB z Lublina (szef operatywy). Całe buty w błocie, kurtka od deszczu pochłapana błotem.

^{an} W tekście buzer.

Mówi nerwowo: „Dzień dobry”. Wyjmuje z raportówki medalion, pyta, czy poznaję, czyje to jest, kto na tym zdjęciu. Mówię: „Moja mama. To medalion mojego brata, Edwarda”. Pokazuje zdjęcie rodzinne, wyjaśniam: to mój ojciec, to moja ciocia z mężem i synami, matki siostra. Jest koło godz[iny] 11, wyprowadzają mnie. Pod płotem leży „Żelazny”, nago, tylko prześcieradłem zakryty od pasa; leży obok Kazik Torbicz⁴⁹ z Macoszyna i starszy pan, szczuplutki, w ubraniu, zwinieły, też pod płotem (pan Kaszczuk⁵⁰ ze Zberezna, w jego domu, a raczej stodole, były wyrabiane legitymacje podziemne). Pyta mnie szef: „Który jest pani brat?”. Podeszłam bliżej, pokazałam: „To jest mój brat!” – „A ten drugi kto jest?” – „Nie wiem”. – „A ten starszy człowiek?” – „Nie wiem, kim jest”. Na podwórku pełno wojska, stoją lekarze w białych fartuchach, u góry nad nami krąży mały samolot, robi zdjęcia z góry. Mnie nie wierzą, wołają Edwarda kolegów ze szkoły, sąsiadów, stryja Mariana Taraszkiewicza. Stryjo mówi: „To jest Edward”. Na następnym dzień ciało położono na pałatkę i na samochód „Lublin” i zabrali do Lublina na ul. Szopena, do placówki UB. O tym opowiedział mi p[an] Pająk, publicysta i redaktor. Od niego też parę lat później dostałam pośmiertne zdjęcie Edwarda.

Parę dni po akcji wezwał mnie szef z UB Lublin, szef operatywy, mówi do mnie: „Tak zakończył »Żelazny« swoją działalność. Taki człowiek był nam potrzebny, co za orientacja”. Pyta mnie: „Czy czytała p[ani] już chronologię »Żelaznego«?” Mówię: „Nie, nie znam. Nie wiem nawet, że pisał”. – „Tak, jest tu we Włodawie, to jego rękopis. Teraz przepisują na kilka sztuk, dla każdej placówki. Ja sam dla siebie zabieram jeden egzemplarz. Zawiadamiam panią, że będzie pani sądzona we Włodawie, razem z innymi. To będzie sąd lubelski, na sesji wyjazdowej we Włodawie, tak zwana pokazówka. Będzie was sędził sąd wojskowy. Dostanie pani obrońcę z sądu. No, na mnie czas”. Spytał mnie: „Czy ma pani do mnie żal, że prowadziłem taką akcję?”. Powiedziałam: „Nie, jeśli nie pan, to kto inny by poprowadził; a druga rzecz, ile jeszcze będzie w naszym kraju niepokoju?”. Pożegnał się ze mną i powiedział: „Nie traćmy nigdy nadziei, i pani po latach wyjdzie na wolność”. Do celi przyprowadzono Reginę Ozgę⁵¹, pseu[donim] „Lilla”, łączniczkę (syn Jeduty czy Widuty z Czarnego Lasu wydał Reginę Ozgę UB, współpracował). Rozdzielono nas. Wiele się od niej dowiedziałam. Do mnie dano Łodzię Kaszczuk⁵², siedziało jej trzech braci: Józef⁵³, Bronisław⁵⁴ [i] Stanisław⁵⁵. Dziesięć latka zebrała ciocia.

⁴⁹ Stanisław Torbicz „Kazik”, żołnierz oddziału „Żelaznego”. Poległ 6 X 1951 r. w Zbereznu podczas próby przebijania się przez pierścień oblawy.

⁵⁰ Teodor Kaszczuk, w jego zabudowaniach 6 X 1951 r. został otoczony czteroosobowy oddział „Żelaznego”. Zabity przez żołnierzy KBW podczas otaczania gospodarstwa. W trakcie tej operacji została śmiertelnie ranna jego żona Natalia, którą po zakończeniu operacji pozostawiono bez udzielenia jakiegokolwiek pomocy lekarskiej.

⁵¹ Regina Ozga „Lilka” (ur. 1924 r.). Od wiosny 1946 r. członek Zrzeszenia WiN, łączniczka, kurierka, wywiadowca oddziału „Jastrzębia” i „Żelaznego”. Aresztowana 6 X 1951 r. w Lublinie. Skazana 14 VIII 1952 r. przez WSR w Lublinie na sesji wyjazdowej we Włodawie na karę śmierci. Ułaskawiona przez Radę Państwa 2 I 1953 r. i skazana na karę dożywotniego więzienia. Zwolniona z więzienia 26 II 1958 r.

⁵² Leokadia Kaszczuk.

⁵³ Józef Kaszczuk „Jasny”, skazany na 12 lat więzienia.

⁵⁴ Bronisław Kaszczuk „Ładny”, członek Zrzeszenia WiN, bliski współpracownik oddziału „Żelaznego”. Skazany na 10 lat więzienia.

⁵⁵ Stanisław Kaszczuk „Daleki”, członek Zrzeszenia WiN, żołnierz oddziału „Żelaznego”. Skazany na karę dożywotniego więzienia.

Sądzono nas w kinie. Wyroki były duże; ja skazana byłam na pięć lat więzienia⁵⁶.

Pomimo że przedtem Borowski kazał mi napisać list do mamy. Napisałam. Mama mnie już szukała poprzez ambasadę. W Gdańsku u prokuratora, dał jej adres do warszawskiej prokuratury i tam była. Pan Tadeusz Grzmił z Nowego Stawu dał mojej mamie pieniądze na adwokata. W czasie sprawy mój adwokat niewiele miał do obrony. Prokurator nazwał nas niedobitkami faszystowskimi. Sędzia to kolega Heńka Torbicza. Spotkali się obaj w Lublinie. Mówił: „Jadę, Torbicz, do twojej Włodawy, będę sędził siostrę »Żelaznego«”. Torbicz [powiedział]: „Tylko nie dawaj dużego wyroku, to dobra dziewczyna. Znam ją dobrze”. Przed sprawą przeczytał mi Borowski rękopis chronologii „Żelaznego”. Dopiero się dowiedziałam, kto pochował tajemniczo Leona, wiedziałam od Edwarda, że pochowany w Siemieniu koło Parczewa, ale okazuje się, że pochował go pseu[donim] „Janusz” [Janusz Tracz, zastępca k[omen]d[an]ta Rejonu I, Obwód WiN Radzyń [Podlaski] i „Truteń” [Stanisławski⁵⁷, dowódca placówki Miłków]. Nie wiedziałam, kto to jest, byłam pewna, że byli z podziemia Radzyń. Z Borowskim na wiele tematów rozmawiałam.

[...] Na sprawę przyjechała moja mama z adwokatem. Borowski pozwolił dzień wcześniej się ze mną zobaczyć. Moje matczyisko było blade, siwe jak gołąbek. Przywiozła mi bieliznę, ciepłe skarpety, ciapki ciepłe skórzane, coś do jedzenia, trochę słodczy. Powiadomiono mnie, że rano zawiozą mnie na sprawę. Nie wiedziałam, gdzie nas będą sędzić. Rano już byłam wyszykowana, berecik na głowie. „Misio” nawet przyniósł szminki kawałek, pantofle błyszczą, ale z nerwów czuję, że jest mi gorąco. Borowski ma polecenie mnie zawieźć na sprawę w kajdankach. Pomyślałam: „We Włodawie i tak wiedzą, że nikogo nie zabiłam ani okradłam”. Wybrał moment, dwóch wojskowych po obu bokach i on, kierowca do gazika. Z tyłu kina, na schodach, pełno gapiów, a jednocześnie i władza. Prędko mnie wprowadzili, ja w przedzie, Borowski siedzi za moimi plecami. Jest to chwila bardzo nerwowa. W kinie jest młodzież gimnazjalna. Napchane, pełno ludzi.

Sąd skazał, tak jak artykuł wskazywał. Sądzono bardzo dużo osób na karę śmierci⁵⁰, długoletnie więzienie. Siedzieliśmy z Lodzią Kaszczuk we Włodawie w jednej celi. Opowiadała mi Lodzia taki moment przed napaścią UB na ich dom. Mama ich nie mogła spać, spała w kuchni (była obszerna), nagle patrzy, dwa białe gołębie stukają w szybę. Zdziwiło ją, przecież tu nikt nie ma gołębi. Kiedy gołębie zniknęły, na szybach była pomazana krew. Gołębi nikt więcej nie widział. Wtedy ojciec Lodzi ubrał się też, jakiś niepokój go ogarnął. Wszed[ł] do stodoły i mówi: „Jakiś mamy niepokój”, a wojsko KBW już okopywało się na dole.

⁵⁰ W *tekście* KAS.

⁵⁶ Rozprawa odbyła się 1 XII 1951 r. na sesji wyjazdowej we Włodawie. WSR w Lublinie w składzie: ppor. Leszek Basiński (przewodniczący), szer. Jan Walczak, szer. Marian Rodak, prokurator Stefan Wiktor (obrońcą Rozalii Taraszkiewicz był Jan Biczynski) skazał Rozalię Taraszkiewicz na karę pięciu lat więzienia za to, że: „od czerwca 1949 r. do stycznia 1951 r. na terenie pow. Włodawa wspólnie z Kaznowskim Stefanem udzielała pomocy związkowi mającemu na celu zbrodnie, a to zbrojnej bandzie terrorystyczno-rabunkowej pod dowództwem Taraszkiewicza Edwarda ps. »Żelazny« przez zaopatrywanie tejże bandy w leki i inne przedmioty, czym dopomogła tej bandzie w osiągnięciu zamierzonych celów [...]” (AIPN Lu, 26/468, Akta sprawy Stefana Kaznowskiego i Rozalii Taraszkiewicz, Wyrok z 1 XII 1951 r., k. 140–141v).

⁵⁷ Józef Stanisławski „Truteń”.

Dzień przedtem „Żelazny” opowiadał swój sen. Śniła mu się matka, że zakładała mu na ręce czarny różaniec, tak jak dla umarłego. Oni czekali na przesyłkę pocztową i dlatego nie opuszczali terenu. Przebieg akcji jest w książce „Żelazny” *kontra UB*. Muszę w kilku słowach nadmienić, że „Żelazny” bardzo lubili się z „Ordonem”⁵⁸ i z „Uskokiem”, z „Zaporą”⁵⁹, natomiast jeżeli chodzi o „Orlisa”⁶⁰, ten człowiek był zbyt tajemniczy, zamknięty w sobie, podstępny, lubił robić ferment pomiędzy zwierzchnikami, jak na przykład „Burtę”⁶¹ oddalał ze swego terenu, a wiadomo ci ludzie, garstka, bo i tak trzeba już powiedzieć, dużo zginęło w czasie okupacji, a po wkroczeniu armistów to już ładowali do aut jak baranki i przepelniali więzienia, a potem do wagonów i na Kołymę.

[...] [Borowski] wziął nas obie do sprzątnięcia jego pokoju. Poskładałam koce, poukładałam, pozbierałam skarpetki. Mówię: „Przepiorę panu w łazience, jest sznurek, to wyschnie. Chyba nikt nie ukradnie”. [Mówi]: „Lepiej jak upierzesz, to wezmę tutaj na krzesło powieszę, to będzie pewne, że nie znikną”. Lodzia zaczęła ścierać kurz z biurka, Borowski miał zawiniętą bułkę paryską z masłem. Kazał to rzucić do kosza. Lodzia mówi: „To kara boska, żeby wyrzucić do śmiecia, ilu ludzi na świecie jest głodnych”, i trzyma tę bułkę w ręku, targuje się z nim. Ja podeszłam i mówię: „Lodziu, »kazano-zrobiono«”. Lodzia wyrzuciła bułkę do kosza na śmieci i stanęła przy oknie i mówi: „Jak szłam koło tej szkoły, to ludzie na ten dom patrzyli, jak na »burdel«”. Ratuję Lodzię, mówię: „Lodziu, ty nie wiesz, co to nawet znaczy, ot tak klepiesz”. Mówi do mnie Borowski: „Taraszkiewiczówna,

⁵⁸ Józef Strug „Ordon” (1919–1947), ur. w Wyhalewie, pow. Włodawa, wykształcenie średnie. W konspiracji ZWZ-AK od 1940 r. W 1941 r. aresztowany przez gestapo, przez kilka miesięcy więziony na Zamku w Lublinie. W latach 1942–1943 z polecenia organizacji służył na posterunku policji granatowej w Urszulinie, pow. Włodawa. Pozostał w konspiracji, organizator i dowódca samodzielnego oddziału zbrojnego, początkowo uznającego zwierzchność Komendy Obwodu WiN Włodawa, a w późniejszym okresie bez podległości organizacyjnej. Ścisłe współdziałał z oddziałem dowodzonym przez Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”, a następnie przez Edwarda Taraszkiewicza „Żelaznego”. Poległ 30 VII 1947 r. w walce z Grupą Operacyjną UB-KBW w Kolonii Sęków, pow. Włodawa (H. Pająk, *Oni się nigdy nie poddali*, Lublin 1997, s. 147–152).

⁵⁹ Hieronim Dekutowski „Zapora” (1918–1949), por./mjr AK-WiN, w latach 1939–1943 w Armii Polskiej we Francji i w Anglii. Zrzucony do Polski jako cichociemny, od stycznia 1944 r. szef Kedywu w Inspektoracie AK Lublin–Puławy i dowódca oddziału dyspozycyjnego Kedyw. Pozostał w konspiracji: dowódca oddziału zbrojnego DSZ; od 1 VI 1945 r. dowódca oddziałów leśnych Inspektoratu DSZ-WiN Lublin, a następnie dowódca zgrupowania partyzanckiego liczącego w szczytowym okresie ponad 300 ludzi, operującego na terenie województw lubelskiego, rzeszowskiego i kieleckiego. Aresztowany 16 IX 1947 r. w Nysie podczas próby przekroczenia granicy. Skazany 15 IX 1948 r. przez WSR w Warszawie na karę śmierci, wyrok wykonano 7 III 1948 r. (A.F. Baran, *Hieronim Dekutowski (1918–1949)* [w:] *Konspiracja i opór...*, t. 1, s. 110–113).

⁶⁰ Klemens Panasiuk „Żyotosław”, „Orlis”, por. WiN, w konspiracji AK od czasów okupacji niemieckiej. Po wkroczeniu armii sowieckiej pozostał w konspiracji, pełnił funkcję komendanta rejonu w Obwodzie DSZ Włodawa, dowódcy oddziału partyzanckiego, a następnie do lipca 1946 r. zastępcy komendanta Obwodu WiN Włodawa, od lipca 1946 do kwietnia 1947 r. komendant obwodu. Ujawniony w kwietniu 1947 r. w PUBP we Włodawie.

⁶¹ Stefan Brzuszek (Brzeziński) „Boruta”, w okresie okupacji niemieckiej prawdopodobnie był członkiem NSZ. Pozostał w konspiracji, od marca 1945 r. dowódca plutonu w oddziale Eugeniusza Walewskiego „Zemsty”, działającego na terenie pow. Chełm, a od jesieni 1945 r. dowódca około trzydziestoosobowego oddziału. W 1946 r. blisko współdziałał z oddziałem Obwodu WiN Włodawa dowodzonym przez ppor. Leona Taraszkiewicza „Jastrzębia”. Otoczony 17 VIII 1946 r. przez Grupę Operacyjną UB-KBW we wsi Kulik, pow. Chełm, popełnił samobójstwo (Z. Broński „Uskok”, *Pamiętnik (1941 – maj 1949)*, wstęp, red. nauk. i oprac. S. Poleszak, Warszawa 2004, s. 143).

ty masz dar przekonywania. Umiesz sobie ludzi zjednać”. Odpowiedziałam: „Bo trzeba mieć nieraz trochę serca”. Lodzia ściera podłogę, ja w drugim wiaderku korytarz. Patrzę, stoją pantofle męskie „tyrolki”, obłocone, zaschnięte. Wymyłam je, wytarłam do sucha. Spod wieszaka wzięłam czarną pastę i szmatką wypastowałam; w noski wcisnęłam gazetę i wyglancowałam kawałkiem starego szalika; przyniosłam do pokoju i postawiłam koło szafy; mówię: „Gdzie p[an] tak grząźł w tych pantoflach, to nie Gdańsk na takie obuwie”. A on mówi: „To ty mi tak wyczyściłaś pantofle?” – „No i co się stało? Ja jestem nauczona w domu [dbać] o porządek”. Lodzia wymyła front, a pod biurkiem, pod etażerką zostawiła syf. „Daj szmatę, poprawię po tobie!”

[...] Kończy się pobyt we Włodawie. Wywożą nas samochodem na Zamek w Lublinie. Ja popadam z Łodzią do tej samej celi. Przyszła na drugi dzień oddziałowa: kto do mycia korytarza; ja poszłam. Wszedł inspekcyjny z dworu: „Wy jesteście nowa. Skąd?” – „Z Włodawy”. – „Nazwisko?” – „Taraszkiewicz”. To nazwisko na niego podziałało: „Wy macie zakaz wychodzić z celi”. O, pomyślałam, co to ma znaczyć? Więzień pod specjalnym nadzorem, to będzie niewesoło, a przede mną 5 lat.

[...] W nocy zrobiono „lotnik”. Nas wywalono na korytarz, jak wpuścili z powrotem, to słoma „siecзка” leżała na podłodze. Poukładałyśmy, każda na swoim łóżku, bo były piętrowe, a było nas tyle, że spałyśmy po dwie. Sprzątnąć „sieczkę” w jedno miejsce, a rano wynieść z oddziałową do śmietnika.

Okolo dwóch tygodni wzywa mnie oddziałowa. Ubrać się, mam więzienne spodnie, bluzę pod szyję zapiętą, kurtka furazerka i drewniaki. Idę, ale w duchu myślę: „Co tam znów odkryli?”. Oddziałowa zaprowadziła pod wskazany n[ume]r pokoju, gdzie były przesłuchania. Wszłam. Za biurkiem siedział Zygmunt Borowski z włodawskiego UB. Zabrakło mi słów, dopiero po chwili, kiedy wstał [z]a biurka, powiedziałam: „Dzień dobry”. Podeszedł, podał mi rękę. Spytałam: „Czy coś się stało, że pan mnie wezwał?” – „Nie – odpowiedział. – Po prostu chciałem się z tobą zobaczyć”. Mówi mi: „Rozmawiałem z kolegami twego brata Leona z partyzantki z czasów okupacji. Mówili mi, że jak przyszli do UB wstawić się za twoim bratem, to wyszedł Pajączkowski i mówi do nich: »Co, przyszliście hitlerowców bronić?!«”. Powiedziałam mu, że wiem o tym, bo nawet adwokat Kosiński wstawiał się za moją rodziną. Opowiedziałam mu o tej dziewczynie, co siedzi ze mną, co dziecku brzuszek przebiła widelcem i ma półtora roku w zawieszeniu, dodałam: moje sumienie jest czyste. Powiedziałam mu: „Wolałabym pana spotkać w innych okolicznościach, z uśmiechem na twarzy”. Powiedział mi: „Jak bardzo zaważyłaś na moim życiu, stałem się inny. Jestem ponownie wierzący. Muszę ciebie pożegnać, bo czeka na mnie samochód. Życzę ci wytrwania, siedzieć tyle nie będziesz, bo planuje się amnestię, gdyż więzienia są przepełnione”. Podał mi rękę. Wyszliśmy. Zdał mnie oddziałowemu. Z[z]a zakratowanej kraty on się odwrócił i ja, z oczu popłynęły mi łzy.

[...] W słoneczny dzień do pracowni przyszedł[!] pracownik działu administracji, powiedział mi: „Mam twoje zwolnienie, jesteś wolna”⁶². Nie umiałam słowa wypowiedzieć. Powiedział mi: „Naprzeciw więzienia, po drugiej stronie, jest kawiarnia. Zaczekaj tam na mnie, ja przyjdę”. Oddziałowa przyszła po mnie,

⁶² Rozalia Taraszkiewicz została zwolniona 4 V 1954 r. z więzienia w Grudziądzu.

pożegnałam się z moimi towarzyszkami w pracy. One płakały, ja płakałam. Zaprowadzono mnie do magazynu. Moje ciuchy śmierdziały naftaliną, że aż dusiło w gardle. Wychodziło nas parę osób; młode mężatki z Białegostoku, z Radzyna, Białej Podlaskiej. Kiedy wyszłam za bramę, nie patrzyłam, gdzie kawiarnia, i poszłam tam, bo chyba by mnie wyprosili z tym zapachem naftaliny, a po prostu krępowalam się, to było już ciepło, a ja nie jestem ubrana tak jak trzeba. Ciuchy pogniecione. Nie, może źle postąpiłam, ale różnie się wtedy myśli w odosobnieniu. Człowiek staje się trochę dzikusiem. Siadłam do tramwaju i pojechałam na dworzec do Malborka, a potem z M[alborka] do Nowego Stawu...